

LUBLIN

31.V.1964

Nr 10 (296)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

BIBLIOTEKA
UNICJ
LUBLIN

KAMENIA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

PPR - SZEREGI I PRZYWÓDCY (1)

Ugrupowania prokomunistyczne
(1939—1941)

EUGENIUSZ MYSŁOWSKI

Dzieje Polskiej Partii Robotniczej ujęte od strony konspiracyjnej i walki zbrojnej były częstym przedmiotem opracowań publikowanych z wielu okazji. Zamieszczona tu praca Eugeniusza Mysłowskiego zawiera dane z historii PPR na Lubelszczyźnie dotyczące sprawy jej organizacyjnego rozwoju.

NA powstanie Polskiej Partii Robotniczej złożyła się zarówno działalność grup konspiracyjnych o orientacji lewicowej, które samorzutnie i z inicjatywy b. członków Komunistycznej Partii Polski powstawały w latach 1939—41, jak i działalność komunistów polskich w ZSRR, którzy na przełomie lat 1941/42 za pośrednictwem tzw. grup inicjatywnych przybyłych do kraju podjęli dzieło odbudowy partii. Połączenie obu tych elementów nastąpiło na konferencji założycielskiej PPR w Warszawie na Żoliborzu dnia 5.I.1942 r. W konferencji tej obok przedstawiciela grupy inicjatywnej, Pawła Findera, wzięli udział delegaci organizacji krajowych: Związku Walki Wyzwoleńczej, Stowarzyszenia Przyjaciół ZSRR oraz „Proletariusza”. W pierwszej połowie 1942 r. w skład PPR weszły powstałe wcześniej organizacje prokomunistyczne: Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa, Związek Rad Robotniczo-Chłopskich „Młot i Sierp”, Polska Ludowa, Front Walki „Za Naszą i Waszą Wolność”, Czyna Robotniczo-Chłopski, Bojowa Organizacja Ludowa, Związek Patriotów Podkarpackich i inne.

Powstanie PPR na Lubelszczyźnie nie odbiegło zasadniczo od warunków, w jakich powstała ona w innych częściach kraju. Po klęsce wrześniowej rozdzieli się tu luźne, stojące na różnym poziomie organizacyjnym grupy konspiracyjne, tworzone najczęściej przez b. członków KPP, KPZU, KPZB, lub radykalnych działaczy chłopskich. Do nich należała przede wszystkim Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa powstała w lipcu 1941 r. w powiecie krańskim. Wśród organizatorów RChOB byli: Michał Wójtowicz, Aleksander Szymański i Stanisław Szot. Organizacja ta liczyła około 1000 członków zrzeszonych w 9 komitetach gminnych (Annapol, Dzierzkowice, Kosin, Trzydnik, Zakrzówek, Janów, Brzozówka, Urzędów i Jarocin) oraz w 46 kółkach terenowych. Michał Wójtowicz („Zygmunt”) pełnił w niej funkcję sekretarza, Aleksander Szymański („Ali”) był redaktorem prasy, a Stanisław Szot („Kot”) zajmował się kolportowaniem prasy i pełnił funkcję skarbnika. Dzieki pracy tej organizacji tereny po-

(Dokończenie na str. 2)

W dniu 1 czerwca radosnym gwarem dziecięcym wypełnią się parki i ogrody, boiska i place zabaw. Na wszystkich kontynentach, na wschodzie i zachodzie, na południu i północy, wszędzie obchodzony jest Międzynarodowy Dzień Dziecka. Naszą erę znamionuje troska o szczęście dziecka, o to, by mogło żyć, bawić się i uczyć w spokoju, by nie zaznało krzywdy, nie dokuńczył mu głód, ani nekalty choroby.

Szczególnie duża jest troska o dziecko w krajach budujących socjalizm. W naszej ojczyźnie dziecko jest otoczone serdeczną i wielostronną opieką od pierwszej chwili swojego życia, a właściwie zanim jeszcze przyjdzie na świat, już wtedy, gdy znajduje się w łonie matki państwo nasze troszczy się o zdrowie, o przyszłego człowieka. Szeroko rozbudowana sieć placówek leczniczych i opieki nad matką i dzieckiem, coraz piękniejsze, lepiej wyposażone i prowadzone żłobki i domy dziecka, przedszkola i szkoły znaczą dwudziestoletnią drogę państwa ludowego.

Jeśli jednak pragniemy dziecko nasze ustrzec przed niebezpieczeństwem, które nie przestało mu zagrażać tak długo, jak długo istnieje będzie groźba odrodzenia się militarystyki, nie wolno nam zapominać, do czego zdolny jest faszyzm. W NRF żyją jeszcze po dziś dzień bezkarnie i dostatnio zbiry hitlerowskie, którzy prowadzili wojnę przeciwko dzieciom i mają ręce splamione ich krwią. Na przyszły rok zgodnie z prawem obowiązującym w NRF ci mordercy dzieci wraz ze wszystkimi hitlerowskimi oprawcami będą rozgrzeszeni. Ich potworne czyny będą puszczane w niepamięć. My pamiętamy i wciąż będziemy przypominać światu o tych najstraszliwszych ze zbrodni popełnionych na matkach, bezbronnych istotach.

S. G.

W GETCIE znowu była wielka akcja. Udałam się tam wozem, którym stale jeździłam do obozu. Właścicielem jego był „Kaczynosi”, godny reprezentant Kieparowa, dzielnicy cwaniaków — sławnych lwowskich „batiarów”, gdzie mieszkał ze swoją rodziną. Był to mężczyzna bardzo wysoki, postawny, niezwykłej siły, o twarzy brzydkiej, która zmieniała się nie do poznania, gdy zawitał na niej uśmiech. Stawała się wtedy sympatyczna, dobra i nieomal ładna.

Przez wisko „Kaczynosi” (związane było chyba z niezwykłym kształtem jego organu powonienia) tak do niego przyglęno, że już nikt nawet nie pamiętał, jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko. Nawet jego żony nikt nie nazywał inaczej jak „Kaczynosową”.

„Kaczynosi” cieszył się w Kleparowie dużym autorytetem. Lubiano go, ale też bano się jak ognia i unikano zwady z nim. Znany był z ciężkiej ręki i z tego, że łatwo sięgał po nóż sprężynowy, który nosił stale za cholewą buta. Miał przy tym złote serce, czule na ludzką krzywdę i niedolę. Był diabelnie sprytny, chytry jak lis. Nie bał się nikogo i niczego. Nienawidził hitlerowców, kiedy mówił o nich, rozwijał niebywale bogactwo soczystego słownika „batiarowskiego”.

Kiedy miałam po raz pierwszy zawieźć paczki do obozu janowskiego,

WOJNA PRZE- CIWKO DZIE- CIOM

STANISŁAWA
GOGOŁOWSKA

Tadeusz
Makowski

Dziewczynka
w białym
kapeluszu



żaden woźnica nie chciał nawet słyszeć o tym, by ze mną tam pojechać. Ktoś wreszcie zarekomendował mi „Kaczynosa”. Zgodził się od razu i od tam był nieodłącznym towarzyszem moich wyjazdów do obozu. Jeździł również często w ważnych sprawach kuchni. Nieraz też korzystałam z jego pomocy, gdy trzeba było potajemnie przewieźć kogoś gdzieś niedaleko. „Kaczynosi” darzył mnie wielką sympatią i dał już niejednokrotnie dowody wzruszającej wprost troski o mnie. Gdy teraz zwróciłam się do niego z prośbą, by pojechał do getta, nie zaważał się ani przez chwilę. Nie pytał o nic zaprzął konie i pojechaliśmy.

Miałam na rękawie otrzymaną od Rysia Axera, specjalnie na ten cel spreparowaną, czerwoną opaskę z czarnym napisem Lagerküche i okrągłą, oryginalną pieczętkę SS und Polizeiführer. Wiedziałam, jak wielki szacunek i słabość mieli hitlerowcy dla wszelkiego tego rodzaju emblematów. Dodawało mi to odwagi.

W bramie getta stał znany kat ludności żydowskiej — Untersturmführer Wepke, w otoczeniu całej sfery SS-owców i żydowskich milicjantów. Podeszłam do niego i zameldowałam, że przyjechałam z obozu do Judenratu po prowianty dla więźniów. Popatrzył najpierw na mnie jak na wariatkę, potem powrócił do swoich kompanów,

poszwargotał coś z nimi i śmiejąc się kazał milicjantowi żydowskiemu przepuścić wóz.

Getto zdawało się wymarłe. Za zamkniętymi oknami czaiła się groza. Złowrogo dudniły na pustych ulicach kroki licznie kręcących się SS-owców w stalowych hełmach na głowach i uzbrojonych jak do boju. Słychać było pojedyncze strzały. Od czasu do czasu zaterkotał karabin maszynowy. Gdzieś z dala dobiegały krzyki i płacz.

Idąc za radą „Kaczynosa” postanowiłam zjechać najpierw pod Judenrat. Nie byłam pewna, czy Wepke nie obserwuje nas z daleka, lub też nie wysłał kogós, by nas śledził. Wolalam więc być ostrożna. W pewnej chwili ujrzałam na jezdni grupkę biegnących dzieci w wieku może trzech do pięciu, sześciu lat. Na widok wozu rozpięchły się jak spłoszone ptaki. Zeskoczyłam z wozu i zawołałam, by nie uciekały. Przez dobrą chwilę przyglądały mi się z daleka nieufnie. Widocznie lustracja wypadła korzystnie, gdyż zbliżyły się i otoczyły mnie kółem.

Mówiły wszystkie równocześnie. Z ich chaotycznym opowiadania dowiedziałam się, że są z jednego domu, że jeszcze w nocy rodzice ukryli je w jakimś schronie. Było tam ciasno, ciemno i duszno i starsza kobieta, która tam z

(Dokończenie na str. 8)

PPR - SZEREGI I PRZYWÓDCY

(Dokończenie ze str. 1)

wiatu krańcickiego stały się najpoważniejszą bazą działania PPR na Lubelszczyźnie, a sama organizacja — trzonem powstającej Polskiej Partii Robotniczej.

Na pograniczu powiatów włodawskiego i lubartowskiego w 1941 r. powstała organizacja pod nazwą Związek Młodochłopski, przekształcony później w Bojową Organizację Ludową. Jej założycielami byli Józef Szymanek, Kazimierz Tkaczyk, Kazimierz Sidor i Bolesław Kwiatek. Organizacja ta po nawiązaniu kontaktu z PPR przeszła w jej szeregi. W skład też PPR weszła bezimienna grupa założona w 1940 r. przez Jana Wójtowicza i Franciszka Wolińskiego we wsi Przepisówka (pow. lubartowski).

W lipcu 1941 r. grupa b. członków KPP utworzyła we wsi Spiczyn organizację pod nazwą „Sierp i Młot”. Organizacja ta udzielała pomocy jeńcom radzieckim, ochraniała radziecką radiostację, prowadziła rozpoznawanie sił wroga i posiadała własny oddział zbrojny. W styczniu 1943 r. przez Kazimierza Sidora i Wacława Bonatę nawiązała łączność z PPR i weszła w jej skład, tworząc komórkę partyjną.

Powiat puławski zaczął organizować się do walki również niemal od chwili klęski wrześniowej. Latem 1940 r. na terenie gminy Baranów powstała tam organizacja założona przez b. członków KPP pod nazwą Koło Przyjaciół Związku Radzieckiego. Organizacja następnie rozrosła się i swoim zasięgiem objęła dalszych 8 gmin powiatu garwolińskiego oraz niektóre wsie powiatu lukowskiego. Działacze Koła Przyjaciół Związku Radzieckiego docierali aż do wsi gminy Garbów, Końskowola i Rudy, gdzie istnieć sympatycy tej organizacji. We władzach jej znajdowali się m. in. Stanisław Skowroński, Tadeusz Maciejewski, Władysław Moskali, Aleksander Kamela, Czesław Osieński, Czadyk Schuhhändler, Jan-kiel Stannbrecher i Henryk Stachurski.

W okolicach Opola i Rybitw, w powiecie puławskim, b. członkowie KPP Franciszek Mierzwa, Bolesław Wojtal i inni, po nawiązaniu kontaktów z komunistami powiatu krańcickiego Janem Pyłem i Stanisławem Szotem, utworzyli jesienią 1940 r. organizację bezimienną, która zajęła się gromadzeniem broni i udzielaniem pomocy jeńcom radzieckim.

Na terenie powiatu chełmskiego pierwsze organizacje prokomunistyczne zaczęły powstawać na bazie b. KPP (KPZU), która posiadała tu bardzo poważne wpływy. Tak np. przed rozwiązaniem posiadała ona komórki w 59 miejscowościach, liczące łącznie 273 członków. 47 osób liczyła KZMZU. Gdy wojska radzieckie w dniach 25—28 września zajęły Chełm, zaczęto tam samorzutnie organizować Czerwoną Milicję i komitety biedoty wiejskiej. Po dwóch tygodniach pobytu wojska radzieckie rozpoczęły odwrót i wraz z nimi wymigrowało wiele ludności cywilnej w obawie przed represjami ze strony Niemców. Wśród emigrujących była większość b. członków KPP (KPZU), na terenie powiatu pozostały nieliczne grupki komunistów. Mieli oni pracować w niezwykle trudnej sytuacji. Mimo to stara kadra działaczy komunistycznych nawiązała kontakty między sobą już latem 1940 r. Wyraźne oznaki niemieckiej inwazji na Związek Radziecki wpłynęły na przyspieszenie prac organizacyjnych. Prawie jednocześnie w powiecie chełmskim powstały dwie grupy konspiracyjne. Jedna rozpoczęła działalność na granicy powiatów chełmskiego, krasnostawskiego i zamajskiego (pracę prowadzili tam m. in. Jan Mordal, Mikołaj Oleksa i Józef Matysz), druga, znana później pod nazwą „Czerwona Partyzantka” (jej założycielami byli: Jan Jaszczuk, Włodzimierz Chul, Arkadiusz Skubij, Stanisław Malinowski i Leon Demczuk) powstała we wrześniu 1941 r. i objęła swym zasięgiem miasto i powiat chełmski.

Wyraźnie sprecyzowanego programu działania żadna z tych grup nie miała. W pracy kierowały się doświadczeniami nabytymi w KPP (KPZU) oraz potrzebami aktualnej sytuacji politycznej. Obydwie grupy były zgodne w niesieniu pomocy jeńcom radzieckim i

Drukujemy tu skrót referatu, który wygłosił sekretarz KW PZPR w Białymstoku na naradzie aktywów kulturalnego województwa białostockiego zorganizowanej w dn. 23.IV. przez Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

MIJA okres, kiedy edukacja przeciętnego obywatela opierała się głównie o świetlice, zespół artystyczny, dom kultury, czy teatr. Na co dzień i w masowej skali funkcję tę spełniają inne środki upowszechniania. Są to przede wszystkim — obok książki i milionowych nakładów pism — radio, telewizja i film.

Rola tych masowych środków przekazu wzrasta i będzie nabierała coraz to większego znaczenia. Zapowiedź kontynuowania takiego kierunku znajdujemy w tezach przedjudżądowych, w których stwierdza się, że „główna uwaga winna być skoncentrowana na rozwoju radia, telewizji i kina, jako najbardziej masowych środków działalności kulturalnej i kształtowania świadomości społeczeństwa”.

Rola masowych środków upowszechniania kultury nabiera zatem coraz większej społecznej wagi. Nie bez przyczyny też gwałtowny rozwój telewizji wywołał falę rzeczowej krytyki, a obok tego — jak to w pośpiechu bywa — wiele niejasności i nieporozumień. Wielka grupa spraw poruszonych w dyskusji sprowadza się do zasygnalizowania niebezpieczeństwa, które typ kultury masowej — a ściślej mówiąc: techniczny charakter środków jej upowszechniania — wywołuje.

Jakie to są niebezpieczeństwa? Liczni działacze uważają, że techniczny charakter środków upowszechniania dóbr kulturalnych (radio, telewizja, kino) powodując zanik bezpośrednich emocji i wzruszeń artystycznych przekreśla aktywną formę uczestnictwa w kulturze i kształtuje typ biernego konsumenta wartości kulturalnych, odbierającego bezkrytycznie wszystko to, co masowe środki przekazu propagują. Poza tym odbiorca kultury masowej propagowanej przez masowe środki przekazu jest konsument niezwykle różnicowany i w dużym stopniu anonimowy. Nie znamy jego gustów, upodobań, ani też możliwości. Propagowane dobra kulturalne muszą więc być obliczone na przeciętnego, statystycznego odbiorcę. I w tym właśnie kryje się niebezpieczeństwo określane mianem homogenizacji. Polega ono na tym, że masowemu upowszechnianiu dóbr kulturalnych o różnorodnym charakterze treści i stylu towarzyszy proces ubożenia wartości bogatszych. Zjawisko to towarzyszy zresztą wszelkiej celowej popularyzacji o szerokim zakresie zastosowania, gdyż dążenie do objęcia upowszechnianymi treściami możliwie najliczniejszych rzesz niejednolitych odbiorców prowadzi nieuchronnie do obniżenia poziomu tych treści, do ich standaryzacji.

w podjęciu natychmiastowej walki z okupantem, czego wyrazem były organizowane oddziały bojowe. Organizacja południowa, działająca na terenie wspomnianych powiatów, zorganizowała trzy grupy jeńców radzieckich — „Wasi”, „Grisy” i „Miszy” — liczące razem około 300 ludzi. Organizacja działająca w centrum powiatu zorganizowała dwie grupy zbrojne po 19 ludzi. Dowodzili nimi oficer Armii Czerwonej „Maksimow” (imię i nazwisko nieznane) i Władysław Kowalczyk.

Na terenie powiatu krasnostawskiego b. członkowie KPP zaczęli nawiązywać kontakty między sobą w drugiej połowie 1941 r. Ich efektem: było założenie komórek o charakterze KPP-owskim. Za podstawę pracy ideologicznej każda z nowo powstałych grup przyjmowała program, który wytyczyła KPP dostosowując go do warunków okupacji. W drugiej połowie 1941 r. powstała taka komórka w Zabnie, Piaskach Szlacheckich i Chanowie.

Na terenie województwa istniał ponadto cały szereg pomniejszych bezimiennych grup skupionych wokół działaczy komunistycznych, jak np. Konstantego Mastalera i Józefa Malysza w powiecie włodawskim, Stefana Lewtaka w powiecie puławskim, Antoniego Czecha i Władysława Buczyńskiego w powiecie białskim, Bohdana Parczyńskiego, Reginy Zietkovej, Stanisława Steca, Pawła Dabka i Stanisława Wcisła w Lublinie oraz wiele innych w różnych miejscowościach Lubelszczyzny.

Eugeniusz Mysłowski

TECHNIKA PRZEKAZU sojusznik kultury socjalistycznej

WITOLD MIKULSKI

Standaryzacja upowszechnionych dóbr kulturalnych może mieć większy lub mniejszy zakres. Jest to uzależnione od przyjęcia tzw. wspólnego mianownika odbiorców, tj. określenia poziomu intelektualnego statystycznego odbiorcy, przede wszystkim zaś od warunków społeczno-ustrojowych. W krajach kapitalistycznych, gdzie podstawową sprawą każdej niemal działalności staje się zysk i zażarta konkurencja, prowadzi do komercjalizacji kultury, a związana z tym pogoń za ilością odbiorców — do przyjmowania najniższego wspólnego mianownika. W tych warunkach rozpowszechniane dobra kulturalne są lichego gatunku i ubogie w treści artystyczne, znajdują się pod dominacją banalnej i sensacyjnej rozrywki.

Czy takie zjawiska stanowią zagrożenie również dla masowej kultury socjalistycznej? Niewątpliwie tak. Istnieje i w naszych warunkach niebezpieczeństwo sprowadzenia masowej kultury jeżeli nie do „pustej rozrywki”, to co najmniej do dominacji formy rozrywkowej przy zepchnięciu na margines treści intelektualnych, wymagających umysłowego wysiłku. Wydaje się jednak, że wiele zasygnalizowanych wyżej niebezpieczeństw to urojenia wypływające z nieznanymi rzeczy i konserwatywności oraz mechanicznego przenoszenia cech masowej kultury zachodu na kulturę masową socjalistyczną. Przede wszystkim w krajach socjalistycznych zakres standaryzacji nie musi być tak wielki, jak w krajach kapitalistycznych. Odbiorca socjalistycznej kultury masowej to nie bierny i anonimowy adresat. Nasz odbiorca to świadomy budowniczy socjalizmu. Znamy jego gusty, nie są nam obce jego możliwości.

Partia nasza przy pomocy organiza-

cji społecznych i związków twórczych obok umasowienia kultury zawsze zabiegała o wysoką wartość ideową i artystyczną propagowanych dóbr kulturalnych, zdecydowanie zwalczając bezwartościową szmirę. Socjalizm nie stwarza także warunków do przetrwania się kultury masowej w kulturę o charakterze komercyjnym. Celem bowiem działalności kulturalnej nie jest tu zysk, lecz podnoszenie poziomu kulturalnego społeczeństwa.

Także nieporozumieniem jest widzenie w masowych środkach przekazu głównego sprawcy kształtowania biernego konsumenta wartości kulturalnych. Prawdą jest, że telewizja i film preferując kulturę obrazu nad kulturą słowa głoszonego wytwarzają w ten sposób pewną łatwość odbioru, a co za tym idzie — mechaniczność percepcji. Jednakże wpływ masowych środków przekazu na odbiorcę nie jest automatyczny, społeczeństwo bowiem to nie maszyna podporządkowująca się wszystkim sygnałom, które dla niej są przeznaczone. Poza tym zarzucając masowym środkom przekazu niweczenie emocji i wzruszenia zapominamy o tym, że te masowe środki przekazu przyczyniają się do powstawania nowych więzi społecznych, już nie lokalnych, powstających z bezpośredniego styku ludzi ale ogólnonarodowych i ogólnoludzkich. Zapomina się także i o tym, że właśnie dzięki radiu, filmowi i telewizji miliony ludzi naszego kraju miało możliwość zetknięcia się z najwybitniejszymi dziełami kultury narodowej i światowej.

Do rzędu nieporozumień zaliczyć także należy zarzuty, że masowa kultura preferuje przede wszystkim rozrywkę. Prawdą jest, że trwałym rysem

(Dokończenie na str. 9)

TOWARZYSTWO REGIONALNE— AKTYWISTA KULTURY

STANISŁAW KOZŁOWSKI

WDZIESIĄTKACH miast i miasteczek, osiedli i wsi województwa lubelskiego w ostatnich latach życie społeczno-gospodarcze i kulturalne zmieniło się w sposób zasadniczy. Rolę jeśli nie najważniejszą to w każdym razie poważną, odegrał w tym wypadku społeczny ruch kulturalny. Ruch ten stanowi potężną siłę kulturotwórczą i staje się bazą działania rad narodowych w dziedzinie kultury. Spośród 18 stowarzyszeń regionalnych i lokalnych działających na Lubelszczyźnie, na pierwszym miejscu trzeba wymienić Towarzystwo Miłośników Ziemi Chełmskiej, Lubartowskiej i Łukowskiej, Hrubieszowskie Towarzystwo Regionalne, Towarzystwo Przyjaciół Puław i Krasnegostawu. Towarzystwa te znane są ze swej niezwykle pozytywnej działalności. One są najczęściej inspiratorami i organizatorami różnorodnych inicjatyw kulturalnych, artystycznych i oświatowych. Nie zawsze wielkich, mimo to jednak zawsze pozytywnych.

Społeczny ruch kulturalny dla swego rozwoju potrzebuje właściwego, sprzyjającego klimatu i poparcia. Tu z przyjemnością trzeba podkreślić, że zdecydowana większość terenowych instancji partyjnych i terenowych władz administracyjnych na Lubelszczyźnie docenia rolę i znaczenie tego ruchu, jego faktyczną i potencjalną rangę, uczestniczy w rozszerzaniu zakresu jego oddziaływania w myśl wskazań XIII Plenum KC PZPR. Plenum to zwróciło szczególną uwagę na konieczność zwiększenia odpowiedzialności za właściwy kierunek rozwoju kulturalnego naszego kraju i poszczególnych regionów, na podniesienie pracy kulturalno-oświatowej na wyższy szczebel oraz na nadanie temu rozwojowi właściwej treści ideowo-politycznej.

Myślą przewodnią programu obcho-

dów XX-lecia PRL i Roku Ziemi Lubelskiej jest wprowadzenie do wszelkich poczynąń społecznych i kulturalno-wychowawczych zaangażowanej ideowo treści. Troską działaczy zajmujących się pracą kulturalno-oświatową winno być pogłębienie znaczenia patriotyzmu i internacjonalizmu. Nie tylko w postawach ludzi i ich poglądach, ale zwłaszcza w praktycznym działaniu. W samym stosunku do wspólnego dobra, w pomnażaniu naszego wspólnego dorobku i trwałych osiągnięć, które nie przemiją z obchodami, lecz trwać będą i służyć ogółowi społeczeństwa naszego kraju.

Aktyw społeczny towarzystw społeczno-kulturalnych dał w przeszłości wiele przykładów głębokiego przywiązania do Ludowej Ojczyzny zarówno w swojej patriotycznej postawie, jak i w podejmowanej pracy dla dobra ogólnego. Wkład ten gwarantuje, że udział lubelskich towarzystw społeczno-kulturalnych w obchodach XX-lecia Polski Ludowej Roku Ziemi Lubelskiej przyniesie nowe wartości. Nad tym na pewno pomysłą działacze towarzystw.

W okresie obchodów XX-lecia PRL i Roku Ziemi Lubelskiej stowarzyszenia społeczno-kulturalne mogą się podjąć poważnego zadania spopularyzowania treści mających duże znaczenie wychowawcze. Przed ruchem społeczno-kulturalnym wyrasta zasadniczy problem: wychowanie ludzi zdolnych żyć na poziomie nowoczesnej cywilizacji i zarazem przyczynić się do dalszego jej rozwoju. Wychowanie człowieka i jego kształtowanie stać u progu nowego ruchu regionalnego. Jak z tego wynika, rola, jaką ma odegrać społeczny ruch kulturalny, jest niemałej wagi. Obecnie wzrasta ona jeszcze bardziej, zwłaszcza przez wysunięcie hasła „powiat samodzielnym ośrodkiem kultury”.

Realizacja tego hasła wymaga wykorzystania wszelkich utajonych źródeł rezerw, likwidacji wszelkiego marnotrawstwa, eliminacji nieuzasadnionych wydatków, przy zwiększonej aktywności społecznej oraz maksymalnej koordynacji. Środki państwowe i społeczne muszą być zużyte na najistotniejsze cele. Tylko w zaangażowaniu się w zmiany środowiska jest droga systematycznego i konsekwentnego podnoszenia poziomu naszego życia i kultury wsi. Działalność społeczna musi być aktywna, kulturalnych, czułych i wrażliwych na piękno. Do ludzi na wskroś nowoczesnych.

Szczęсна

HANNA
MORTKOWICZ-OLCZAKOWA

skiego „marną niby wiejskiego ludu edukatorką i prelegentką od wielkiej biedy”.

Siostra Róży Brzezińskiej i Arciszowej, kuzynka Heleny i Kazimierza Dulebów, działaczki pepesowskich, czynnych w tym czasie na terenie Należczowa, panna Faustyna wcześniej związała się z ruchem ludowym. Zarobkując jako kasjerka w zakładzie nalezcowskim, niestrudzenie pisywała liczne książeczki pomocne dla szerzenia oświaty wśród ludu, młodzieży, dzieci, zamieszczała artykuły w „Zorzy”, „Gazecie Świętecznej”, „Głosie”, „Ogniwie” i innych pismach.

Czy miała jakiś talent? Raczej nie. Sama zdawała sobie z tego sprawę i w jednym z listów do Zeromskiego prosiła go o sąd, czy ma prawo zajmować się beletrystyką. Pisała:

„...oddaję się ja dorywco i z wielkim wyrzutem sumienia, nie sprawi mi więc najsurowsza ocena bólu, tylko stwierdzi moje przekonanie, że powinnam wszystkim swe sily jedynie zwrócić ku popularyzowaniu wiedzy”.

Napisała wprawdzie w swoim pracowitym życiu także i kilka powieści, ale głównie trudniła się przerwaniem i streszczaniem znanych utworów na użytek ludzi prostych, przerabiała sztuki teatralne, pisała popularne pogadanki o wielu krajach: Norwegii, Danii, Szwajcarii, Belgii, Holandii, Grecji, żyrcyory: Franklina, Joanny d'Arc, Jana Zamoyskiego, dostarczając w ten sposób tak zwanej „zdrowej lektury” — ludowi.

Nauczała przy tym bezustannie. W ochronce i w tajnej szkole, na kursach dokształcających dla uczniów szkoły rzemieślniczej, w willi „Tolin” i w szopie na Pałubach. Późniejsza działalność rewolucyjno-oświatowa Zeromskiego w Należczowie, założenie towarzystwa oświatowego „Światło”, odczyty popularne Uniwersytetu Ludowego, zebrania i obchody w willi „Oktawia”, przedstawienia amatorskie — wszystko to łączy się z odważną, zawziętą pracą, niezawodną pomocą Faustyny Morzyckiej.

O trudnej sytuacji w Należczowie i o losach Fochny, jak ją nazywali przyjaciele i towarzysze pracy — donosiła Zeromskiemu w czasie jego nieobecności w Należczowie przyjaciółka Morzyckiej — kasjerka zakładu, a także gorliwa tamtejsza działaczka społeczna i oświatowa.

„Felicja Sulkowska, która tyle pracy najszcawniejszej włożyła w szkołę, bez której współudziału, starań, trudów, zabiegów niezliczonych, wieloletnich i bezwzględnie owocnych, nie byłaby powstała na pewno ta cała instytucja”.

Tak pisał o niej w jednym z późniejszych listów Zeromski.

24 grudnia 1906 roku Sulkowska pisała do Zeromskiego:

„Proponowano Fochnie miejsce w Szawlach za 1000 rubli rocznie. Dla idei odmówiła, ale tu cierpi istne męczeństwo, czekając dnia zapłaty”. I wyjaśniała dalej: „Ze wszystkich stron nas bojkotują. Biedna Fochna cierpi na tym najwięcej, bo mili przyjaciele widząc, że nie mogą powściągnąć jej w dobrym nauczaniu, starają się wszelkimi sposobami jej szkodzić (...). Wymówiono jej mieszkanie pod naciskiem (...). Sama baba prawie płakała, mówiąc jej to, ale biadała, że nóż ma na gardle i tylko powtarzała — te partie, te partie!”

30 kwietnia 1907 roku ta sama Sulkowska pisała, wspominając często Fochnę:

„A my tu jak zwykle rozmaite mamy dywersje oprócz miejscowych rozkoszy, to jeszcze stupajki przezywają nam odczyty i posiedzenia. Na przyszły tydzień szkoła wynosi się na Pałuby, a od 1 października do apteki...”

Zeromski powróciwszy z Włoch do Należczowa był osobście świadkiem tych prześladowań i walk, któ-

rym przywodziła ideowa i ofiarna panna Faustyna. „Której imię niech będzie zawsze we czci” — napisał o niej po latach wspominając, jak zorganizowała ucieczkę więźniów z więzienia lubelskiego i jak sama została aresztowana, porwana przez policję ze szkoły na Pałubach.

Jaki był w swej istocie stosunek wielkiego pisarza do tej przeszłocnej postaci? Stosunek mężczyzny do ładnej młodej kobiety? Stosunek pisarza do porównywanego tematu? Stosunek działacza ideowego do towarzyski pracy?

„Faustyna Morzycka miała prześluczne oczy” — wspominała po latach Walentyna Nagórska, świadek i uczestnik nalezcowskich działań oświatowych i kulturalnych tamtych czasów. I opisała scenę, kiedy to podczas wspólnej rozmowy, panna Faustyna dowodziła czegoś z ożywieniem, a Zeromski chwycił ją za rękę i zawołał — patrzaj jej namiętnie w oczy: „Rzucam pióro i zacznę malować. Pierwszą pracą będzie portret Pani!” Panna Faustyna poczuła, że owionął ją płomień — sugeruje znacząco Nagórska.

W mojej pamięci zachowało się inne wspomnienie, a właściwie opowiadanie Zeromskiego. Mówił nam kiedyś przy stole z rzewnym humorem o tym, jak to panna Faustyna na pastwisku w Należczowie zgromadziła dokoła siebie chłopaków, pastuchów i coś im zaczęła opowiadać, o czymś pouczającym z ogniem, z przejęciem. Tak bardzo była rozgorączkowana, zaabrogowana tym, co mówi, że nie zauważyła, że jeden z chłopców podkradł się z tyłu i zatknął jej w węzeł czarnych włosów wielki liść lopucha. Młoda nauczycielka mówiła, unosiła się, biegła, trzęsła rękami, a dzieciaki, zamiast słuchać jej nauk, dusiły się ze śmiechu, bo nad jej piękną czarną głową ogromny liść lopotal, chwiał się w rytm szybkich ruchów i słów.

Scena ta przypomina prześladowania korepetytora Kawki z „Szyfowych prac”. Kawka to szkolne przewisko Zeromskiego. Więc i w tej sytuacji posmiewiska, ofiary społecznego i oświatowego posłannictwa, utożsamiał się pisarz z ideowcami typu panny Faustyny.

Oba wspomnienia, Nagórskiej i samego Zeromskiego, mieszczą się doskonale w wieloletniej historii nalezcowskich spotkań. Po chwilach oczarowania, lekomyślnych męskich zachwytach, uczucia pisarza skierowały się w inną stronę, a pozostała współpraca, obowiązki wypełniane z ogniem i odwagą, a we wspomnieniu zabarwione śmiechem i leciutką drwiną.

Od strony panny Morzyckiej wyglądało to na pewno inaczej. Rozbudzone uczucia nie dały się tak prędko i łatwo uspokoić. Trwały. „Życie osobiste miała bardzo nieszczęśliwe” — stwierdza rzeczowo jej biografka. A córka Oktawii Zeromskiej, po wielu latach, broniąc matki i podnosząc znaczenie miłości, wiążącej ją z Zeromskim — dowodziła w liście zawzięcie i wrogo, że Faustyna była starą panną, podnieconą erotycznie, że narzucała się Zeromskiemu ze swą miłością i że nigdy nie cieszyła się wzajemnym uczuciem. W tej krzywdzącej ocenie, która po tylu latach, po śmierci wszystkich zainteresowanych mówiła jeszcze o zazdrości — tkwiła także jakaś sugestia dawnych uczuć, które niepokoiły panią Oktawię.

Ostrzeżenia dawane z lubelskiego więzienia, aby wyjechać z Należczowa, uciekać co tchu za granicę, skłoniły wręcz Zeromskich do opuszczenia w roku 1908 willi „Oktawia” i chaty na Górze Armatniej. Dla odważniejszych działaczy kulturalno-oświatowych po okresie rewolucji nastąpił znowu okres represji, policyjnych prześladowań, nędzy.

Także i panna Faustyna, po wydostaniu się z więzienia, musiała porzucić te strony.

Spotkała się z Zeromskim w Krakowie, w maju 1909 roku, a więc w czasie, gdy pisarza absorbowała już nowa miłość. Listy do żony mówią o kilku spotkaniach, nawet o wspólnej wycieczce do Tyńca.

Zeromski źle się wtedy czuł i pisał w liście: „To mnie tylko męczy”. I dla Faustyny Morzyckiej te spotkania musiały być męczące. Intensywny twórczy okres jej życia i działalności skończył się wraz z Należczowem. W więzieniu, a może już wcześniej, zachwiała się równowaga nerwowa. Płomienny entuzjazm, twórcza egzaltacja opadły. Nadzieje gorącego serca nie zostały spełnione. Niebawem — już w roku 1910 — odebrała sobie życie.

*) Fragment przygotowywanej do druku powieści.

Należczów — Przedszkole im. Adama Zeromskiego

W MAŁYM dzienniczku zawierającym zapiski, robione w roku 1891 w Należczowie przeczytałam niedługo takie słowa zanotowane ręką Zeromskiego:

„Do widzenia p. Faustyno. Twoje piękne oczy, dobre, szlachetne, rozumne oczy patrzy na co dzień na te same puste i dzikie przestrzenie. Ty kochasz to wszystko tak jak ja. Jesteś pierwszą i jedyną kobietą, którą znam i czuję jak świętego ducha. I masz włosy czarne, przepiękne, dwudziestoletnie. Ciebie jedną warto kochać na ziemi, kochać aż do śmierci nieskończonym zachwytem. Ty, jedna, jaką znalazłem, kobieto idealna, wysniona w powieści, co byś umiała za Ojczyznę”.

Ta emfaticzna i trochę naiwna apostrofa młodego pisarza do „idealnej kobiety godnej najwyższej i wiernej miłości”, a nazywanej w dalszych notatkach „Szczęsną”, robiona była w kwietniu 1891 roku. Świadczy ona niewątpliwie o tym, w jakim nastroju poszukiwania ideału przeżywał Zeromski pierwszy okres swego pobytu w Należczowie, jak pragnął znaleźć przedmiot swych uczuć w kobiecie, która jest także wartościowym i ofiarnym człowiekiem. W jakim momencie psychologicznym nastąpiło zbliżenie z panią Oktawią Rodkiewiczową i jakie nadzieje ona właśnie spełniła.

Czyżby jej poprzedniczką w przeżyciach nalezcowskich była na krótko czarownica i płomiennooka panna Faustyna Morzycka?

„Silaczka” ukazała się drukiem w „Głosie” w czerwcu tego samego 1891 roku. Nie ulega chyba wątpliwości, że inspiracją, jeśli nie wzorem do tego opowiadania, była postać i działalność panny Faustyny. Oczywiście jest także i to, że najsilniejszym łącznikiem między ofiarną nauczycielką i społecznicą a młodym pisarzem było odważne ideowe działanie Morzyckiej na polu oświaty. „Ty kochasz to wszystko tak jak ja” — stwierdził Zeromski w pierwszym oczarowaniu. A po latach powtórzył: „Zrobiła sama tyle, co setki innych”.

Istotnie, ta młoda wówczas i przystojna panna, córka powstańca urodzona na zesłaniu, wychowawca dra Nowickiego, lekarza społecznika, założyciela Należczowa, była nauczycielką i działaczką społeczną z osobistej pasji, z gorącego przekonania. Nauczycielką — bez praw nauczania, działaczką wечно zagrożoną policyjnie. Sama siebie nazywała w liście do Zerom-

W DOLINIE OPATÓWKI

WINCENTY KAWALEC

plywa u stóp Gór Świętokrzyskich i do Opatowa jest małą rzeczką górską. Od Opatowa wchodzi w dolinę, ciągnącą się przeszło 60 km, a szeroka w niektórych miejscach nawet do 4—5 km. Rzeczka płynie dziwnymi zakolami i zakrętami, miejscami głęboka do 2—3 m, przez jakieś 50 km obsadzona typowymi dla tej doliny, sandomierskimi wierzbami, starymi, nierzadko szerszymi niż wyższymi, pełnymi różnego ptactwa. Rzeczka jest rybną, są też pismaki i raki. Na wiosnę i w lecie dolina jest pełna różnych rodzajów motyli, pełna rybitw, bocianów. Szaraków, dzików, sarn jest dużo. Widziano tu dzikie bażanty, a ostatnio spotykano zapędzające się tu z Gór Świętokrzyskich jelenie.

Któż w kraju słyszał o dobrze zachowanych ruinach zamków w Tudorowie i Międzygórzu, o kurhanach w Malicach i Karwowie? A Karwów — to przecież miejsce urodzenia Wincentego Kadłubka. Jego imieniem chrzczone dawniej prawie w każdej rodzinie w dolinie Opatówki przynajmniej jednego chłopca. Dlatego tak dużo tu Wincentów.

Stąd, z doliny Opatówki, pochodził pierwszy premier z pierwszych lat niepodległości — Świerzyński

z Sadłowic i wieloletni minister, prof. Józef Mikulowski-Pomorski z Malic. W Malicach i Jankowicach były prawdopodobnie zbory ariańskie.

Dolinę Opatówki upodobała sobie na nieszczęście wojna. Kilka bitew, potyczek w czasie powstania styczniowego. Tu w czasie i wojny światowej były wielkie walki m. in. zwane bitwą o Róźki. Tu w czasie ostatniej wojny przez 6 miesięcy przebiegała linia frontu. Na dużym odcinku frontu Opatówka była rzeką niczyją — z jednej jej strony biegly okopy radzieckie — tzw. przyczółka sandomierskiego, z drugiej silne umocnienia hitlerowskie. Walki trwały przez 6 miesięcy codziennie, gdyż żołnierze byli od siebie oddaleni miejscami tylko o 50—60 m.

W czasie okupacji była to dolina partyzantów. W Słaboszewicach nad Opatówką poległ od reakcyjnej kuli Leon Koczański, którego imieniem nazwano jedną z wielkich fabryk łódzkich. Czy szkoły w Słaboszewicach nie należałoby nazwać jego imieniem?

Plaskowgórza Sandomierskie, okolice przylegające do doliny Opatówki, to okolice młodości Zeromskiego — przebywał tu często w Chobrzeżanach u swego wuja Trepi, w Nasławicach, Oleśnicy i innych dworach. Stąd pochodziły sławne rody ryccerskie z Kobylan, Dębian, Skotnik, Bogorii. Pełno tu wszędzie historii, której szczegółowo nikt nie bada. Na krańcach doliny wstęga Opatówki spinają 2 historyczne miasta: Opatów, zwany dawniej Żmigrodem i Sandomierz, w pobliżu którego Opatówka wpada do Wisły.

Opatów posiada jeden z najwspanialszych zabytków Polski — romańska kolegiata z XII w., znaną bliżej tylko fachowcom. Mało kto wie, że grobowiec

(Dokończenie na str. 4)

SZOSA z Opatowa do Sandomierza biegnie lukiem poprzez „na wskroś jedyne na świecie Sandomierskie Plaskowgórza” — jak pięknie pisał o tych okolicach Stefan Zeromski w „Popiołach”. Jadący szosą do Sandomierza widzi z prawej strony Powiśle, z Koprzywnicą, kopalnią siarki w Piaseczynie, fabryką w Machowie i stolicą okręgu siarkowego — Tarnobrzegiem; z lewej strony szosa rozciąga się widok na Góry Świętokrzyskie i liczne wzgórza biegnące w kierunku Ostrowca i Cmielowa. Lecąc jadący szosą nie widzi, że już w niektórych miejscach między Lipnikami i Kleczanowem, w odległości stu metrów od szosy, zaczynają się sandomierskie wąwozy, prowadzące w dolinę rzeki Opatówki. Wąwozy sandomierskie — to niezwykle ciekawe geologicznie i w ogóle przyrodniczo zjawisko. Długie, nierzadko do 2 km, tworzą ściany w glinie wysokie nawet do 10 metrów, obróśnięte jedynie tu spotykaną sandomierską wisienką, tarniną, krzewami dzikiej róży, przedziwnej piękności goździkami górskimi, macierzanką. W pionowych ścianach wąwozów gnieźdzą się chmury dzikich os i jaskółek brzegówek

Okolo 20 takich wąwozów prowadzi do najpiękniejszej doliny, jaka jeszcze w tej części kraju pozostała. Jest to dolina rzeki Opatówki, nie odwiedzana i nie zbudana przez turystów, nieznaną, zachowaną dotychczas szczególnie, sandomierski, nieskażony jeszcze od wieków, folklor ludowy. Dzieje się to dlatego, że cojazd w dolinę Opatówki jest możliwy w zimie tylko sankami, wiosną i jesienią tylko drogami okrężnymi.

Opatówka — to typowa rzeczka sandomierska. Wy-

W DOLINIE OPATÓWKI

Szydłowieckich, „lament Opatowski”, obrazy Łukasza Cranacha, drzwi żelazne z XIV w. — to zabytki jedne ze sławniejszych. Ciekawostką jest wymalowany na sklepieniu kolegiaty obraz carycy Katarzyny z portretem Stanisława Augusta w ręku.

Opatówka bierze początek niedaleko wsi Tarczek, dawniej kasztelanii, gdzie jeszcze obecnie znajduje się romański cisowy kościółek z XI w., jeden z najstarszych w kraju, otoczony przepięknymi lipami z XIV w., wysokim murem obronnym, dobrze zachowanymi fosami. Kto oprócz fachowców, odwiedza Tarczek — tę skarbnicę polskiej kultury, osiedle wcześniejsze niż dzisiejsze 100-tysięczne Kielce?

Obok Opatowa, w Grzegorzowicach, znajduje się romańska rotunda z XI w. Kościółek obronny, maleńki — też jedna z największych pamiątek w kraju.

Sandomierz, ta perła architektury z najnowocześniejszą hutą szkła jest bardziej znany. Czy nie powinien być jednak tak odbudowany architektonicznie jak Kazimierz?

W dolinie Opatówki, we wsi Dobrocice, urodził się w 1895 r. poeta i pisarz, obecnie prawie zapomniany, Stanisław Młodożeńca. Tu nad samą Opatówką stał jego dom, tu mieszka jego najbliższa rodzina. Przed wojną autor wielu wierszy dla dzieci, opowiadań i nowel, autor znanego hymnu ludowego. W wydanych ostatnio opowiadaniach „W dolinie małej wody”, napisanych przed wojną autentyczną gwara sandomierską ze swej rodzinnej wsi, zawarł Młodożeńca całe piękno krajobrazu, życia, myśli, zwyczajów i obyczajów ludu sandomierskiego. Młodożeńca wprowadził Sandomierskie i swą wieś rodzinną Dobrocice do literatury. Opowiadają ludzie we wsiach okolicznych, jak to w 1953 r., przezuwając swą bliską śmierć, poeta chodził po okolicznych wsiach w dolinie Opatówki, odwiedzał znajome strony, sandomierskie wąwozy, lasy, zagajniki, rozmawiał z ludźmi. Następnego roku spoczął w Alei Zasłużonych na cmentarzu w Warszawie. Historycy literatury ustalają miejsce Młodożeńca w literaturze i kulturze naszego kraju. Lecz zastanawiając jest to, że ludzie w Dobrocicach, we wsiach doliny Opatówki, w całym Sandomierskiem — właściwie nie wiedzą, kto to był Młodożeńca. Nie wiedzą o tym też nauczyciele w najbliższych szkołach. W Dobrocicach zresztą nie ma szkoły w ogóle, a sąsiedni Pielaszów stał się „sławnym” w kraju z wieloletniej kłótni o to, w którym miejscu wsi ma stanąć szkoła. A dzieci uczą się, jak przed 20 laty, w starym, pofrontowym baraku. Postulując wybudowanie w najbliższych latach szkoły w Dobrocicach lub Pielaszowie i nazwanie jej imieniem Stanisława Młodożeńca.

Tu nad Opatówkę, do Młodożeńca w Dobrocicach, przyjeżdżał z pobliskiego Klimontowa młodszy od niego o 6 lat Wiktor Bruno Jasieński. Podobno chodzili po łąkach nad Opatówką, jeździli furmanką do Sandomierza, Tarnobrzega i do Klimontowa. Obydwaj chodzili do szkół w Klimontowie i Sandomierzu, obydwaj wyjechali w czasie I wojny światowej do Rosji, obydwaj tam chodzili do gimnazjum, przeżyli Rewolucję. Obydwaj byli znanymi w okolicy z ludowych, demokratycznych przekonań, urządzanych wieców, spotkań autorskich, ze swych wierszy i swej gorącej miłości do poezji. Studiowali i działali, jako współtwórcy futuryzmu, na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Młodożeńca po studiach objął posadę polonisty najpierw na rok w Kielcach, później w Zamościu, a następnie przez około 15 lat uczył w gimnazjum Batoro-rego w Warszawie. Bardziej głośne są losy Brunona

Jasieńskiego. Jego wyjazd do Paryża i wydanie „Słowa o Jakubie Szeli”, deportacja przed 1 Maja 1929 r., wyjazd do ZSRR i tragiczna śmierć w 1937 r.

O czym mówili ci dwaj wielcy sandomierzanie, w okresie, gdy powstawały owe sławne manifesty futurizmu polskiego? Jakże mało znamy ten okres życia i twórczości tych dwóch bliskich sobie przecież ludzi. Jaki był ich wzajemny wpływ na późniejszą twórczość?

Ojciec Młodożeńca był typowym chłopem sandomierskim. Wspaniale przedstawił go Młodożeńca w opowiadaniach „W dolinie małej wody” — jako chłopca Kalitę.

Ojcem Brunona był sławny lekarz — Judym Klimontowski — dr Zysman. Właśnie w marcu 1964 r. upłynęło 70 lat od czasu, gdy dr Zysman założył w Klimontowie Bank Ludowy. Był to drugi w Kongresówce bank spółdzielczy. Wkrótce powstała rzeźnia, sklepy spółdzielcze, straż ogniowa, zaczęto brukować ulice, zdrzewiać miasteczko. Zaczęto też budować gimnazjum w Chobrzanach, pomagając osiedlającym się na gospodarstwach z reformy rolnej chłopom. Dr Zysman był wielkim spółdzielcą, działaczem społecznym i bardzo znanym lekarzem ubogich. Biednych leczył za darmo. Fakty te znam z czasów mojej młodości. Gdy dr Zysman zmarł, w ogrzebie jego wzięło udział kilka tysięcy ludzi z Klimontowa i okolicy. Dużo ludzi jeszcze pamięta tego lekarza-społecznika. Dlatego wydaje się, że w 70 rocznicę jego wielkiego dzieła należałoby Bank Spółdzielczy nazwać jego imieniem, jak również ulicę, przy której dr Zysman mieszkał. Będzie to zgodne z gorącą wolą ludności. Niestety — już tylko kilka osób pamięta i wie, że był to ojciec Brunona Jasieńskiego. Jasieński — to nazwisko wuja Brunona — przyjęte później zamiast nazwiska Zysman przez obydwu synów. Aż dziw bierze, że okres młodości Brunona jest tak mało znany i nikt się właściwie tym nie interesuje. Sam znalazłem w Klimontowie egzemplarz poematu „Pieśń o głodzie” — Jasieńskiego, wydrukowany w drukarni L. MUNTZA w Sandomierzu w 1922 r., poświęcony jedynej siostrze Brunona Reni, zmarłej w 1921 r. Trzeba dodać, że ostatnio zmarł jedyny brat Brunona — starszy od niego, Jerzy, profesor Akademii Medycznej w Krakowie. Żyje natomiast w Moskwie syn Brunona, Andrzej, inżynier, który dopiero po rehabilitacji ojca odzyskał prawdziwe nazwisko. Bratanek Brunona, Juliusz Jasieński, jest obecnie wykładowcą na UJ w Krakowie i przewodniczącym Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego w tymże mieście. Nie żyją obydwie żony Brunona. Również i w Klimontowie gwałtownie zmniejsza się ilość osób, które jeszcze pamiętają Brunona z czasów jego tam pobytu. Najlepiej pamiętające te czasy osoby — to obecny pułkownik WP Stanisław Skowroński, lat 72, Michał Perny — stangret dr Zysmana, lat 70, soltys Jerzy Kędzierski, lat 57, Antoni Bruda, lat 86, i Stanisława Sotanówna. Osobiście kontaktowałem się z wszystkimi. Na podstawie ich relacji wyrobiłem sobie obraz związany z życiem Brunona. Jako młody uczeń gimnazjum lubił deklamować wiersze, sam je też układał. Interesowały go zwłaszcza sztuki teatralne. Był aktorem i reżyserem sztuk grywanych w sali gim-

nastycznej obecnego liceum w budynku poklaski- nym: oo. Dominikanów. Zarówno brat Brunona, Jerzy, jak i siostra Irena, mieli zainteresowania literackie i teatralne. Matka Brunona była malarzką. Brunon odziedziczył po niej zdolności malarskie, chociaż ich nie rozwijał. Z relacji pułkownika St. Skowrońskiego, który grywał m. in. dziennikarza w „Weselu” reżyserii Brunona, wiem, że Brunon dodawał do utworów własne sceny i pomysły reżyserskie. Sądzę, należy, że już wtedy rozdziły się pomysły do „Słowa o Jakubie Szeli”.

Czy p. Hanuszkiewicz nie interesowałoby „Weselu” — wystawione przez twórcę „Słowa o Jakubie Szeli” w Klimontowie Brunon drukował na małej maszynie drukarskiej swe wiersze, nowele. Tłumaczył wielu współczesnych poetów radzieckich. Był w tym czasie młodzieńcem pełnym życia, humoru, dowcipu. Szczególnie lubił wycieczki do pobliskiego Ossolina, do Sandomierza, do Młodożeńca w Dobrocicach, do Goźlic, gdzie interesował się szczególnie XII-wiecznym romańskim kościółkiem. Chodził zawsze elegancko ubrany, chociaż często szokującą, lubił mieć kwi- tek w dziurce kołnierza marynarki, lubił czerwone wino, którym chętnie częstował w czasie wycieczek. Zarówno rodzice Brunona, jak i Młodożeńca utrzymywali z sobą bardzo częste kontakty. Dr Zysman zmarł w 1926 r. Po pogrzebie ojca Brunon już nie był w Klimontowie.

Zaczął się dla niego nowy, twórczy okres. Kiedy Brunon został komunistą? Dr Zysman był typowym ówczesnym lekarzem-społecznikiem, ale na pewno nie był ani komunistą, ani bardzo lewicowy. Jaki wpływ na przekonania Brunona wywarł dr Zysman?

Co w twórczości Brunona miało źródła w jego przyjaźni w Młodożeńcu?

W Klimontowie ma być budowana szkoła. Czy nie należy nazwać jej imieniem wielkiego poety-komunisty?

Chociaż zarówno Jasieńskiego jak i Młodożeńca zaliczamy do twórców w skali ogólnonarodowej, jednak uważam, że naszą słabością w popularyzacji kultury jest fakt pomijania twórców regionalnych. Program szkolny w Sandomierskiem nie przewiduje nawet wzmianki o obydwu pisarzach. Dlatego obydwaj są najmniej znani w swej okolicy. Program nauczania powinien więcej uwzględniać regionalną twórczość.

Spod Sandomierza pochodzi pisarz Julian Kawalec, zmarły ostatnio poeta Stanisław Piętak, a także poeta Czernik z Zachcina koło Opatowa. Wiele może powieść i napisać o tych dwóch pisarzach pisarz doliny Opatówki — autor „Drogi przez wieś”, Wincenty Burek — czy wreszcie najwybitniejszy współczesny poeta Kielecczyzny, działacz ludowy Józef Orzechowski. A może i sam Jarosław Iwaszkiewicz, sandomierzanin z umiłowania tego pięknego miasta? Ich głos znaczący wiele.

Jest to ostatni dzwonek — za chwilę może być już za późno, bo odejda ludzie tego okresu.

Zarówno Jasieński, jak i Młodożeńca interesowali się szczególnie „republiką tarnobrzeską”, powstałą listopada 1918 r. w Tarnobrzegu, odległym od Klimontowa o około 12 km i od Dobrocic około 20 km.

Chłopi w „republice tarnobrzskiej” zaczęli podzielać majątków obszarniczych. Klimontowianie twierdzą, że Jasieński zaczął pisać dramaty oparty o własne przeżycia z tego okresu oraz o opowiadania przywódców „republik tarnobrzskiej” — Tadeusza Dąbala i ks. E. Okonia. Pamięć o tych przywódcach żyje dotychczas w tych okolicach, a imieniem Dąbala nazwano jeden z większych zakładów.

Wincenty Kawalec

Listy o poezji WE WŁASNYCH SIECIACH ANNA KAMIENSKA

ZAPEWNE i dawniejsi poeci bywali fanatykami własnej sztuki, miewali wysokie poczucie swojej wartości, może przyznawali się nieraz do geniuszu. Nie wiem jednak, czy w tak wielkim stopniu jak niektórzy współcześni poeci umieli być fanatykami jednego stylu, jednej twórczej drogi. Znamy z historii niesprawiedliwe i bezwzględne sądy, jakie wydawali o sobie nauzajem wielcy romantycy, wiemy, że żaden z trzech wielkich nie docenił poezji Norwida. Zarozumiałość i surowość ocen jest więc może cechą poetów. Każdy z nich tworzy własny świat, a więc nie musi ulegać innym światom, nie musi dostrzegać i nie musi doceniać innych twórców. Może to przeszkadzało im w tworzeniu. Bynajmniej jednak poeci otwarci na wszelką sztukę i wszelkie piękno, a nawet piękno samego trudu i wysiłku twórczego. Ono właśnie obok ekspresji zachwyca nas w dziełach prymitywnych artystów ludowych. Są poeci chłonni na poezję, cieszący się z każdego nowego zjawiska poetyckiego, z każdego osiągnięcia. Czy ci dobrzy, szlachetni i sprawiedliwi muszą być eklektykami, a ich poezja konglomeratem stylów?

Wydaje się, że ten kawał doświadczenia historyczno-literackiego, jaki jest nam dostępny, zwłaszcza doświadczenia wieku XX, wieku eksperymentów i nowatorstwa, powinien skłaniać współczesnych twórców do większego także niepokoju. Do tego niepokoju przyczyniać się też powinien smutny dla stron obu, a bardziej tragiczny dla sztuki — roziew, jaki się wytworzył między twórcami współczesnej sztuki a jej odbiorcami. Nie wolno nam schlebować łatwizną i potakiwać nieuctwu, ignorancji i zaściankowi, gdy chlubią się tym, że nie rozumieją współczesnej sztuki. Nie powinniśmy jednak nie dostrzegać i nie próbować choćby wyjaśnić zjawiska elitaryzmu współczesnej poezji, jej komplikacji, jej charakteru eksperymentalnego.

W dążeniu do oryginalności i odrębności wyrazu niektórzy poeci współcześni wypracowali sobie własny styl niestykający jednostronny i nazbyt — powiedziałabym — konsekwentny. Oczywiście — posiadanie własnego stylu oparte na własnym temperamencie twórczym, indywidualności, sposobie widzenia — liczy się w sztuce zawsze jako osiągnięcie, jako zdobycz. Istnieje jednak też niebezpieczeństwo jednolitości, niebezpieczeństwo jednego nurtu. Jakby każde osiągnięcie w sztuce miało swój towarzyszący mu cień. Są style przechylające się wbrew intencjom twórców ku własnej karykaturze. Zasadą jakiejś najogólniej pojętej higieny twórczej i artystycznej jest zmienność, jest nieustanne poszukiwanie, zrywanie nawet z własnymi osiągnięciami. Wprowadź jednolitość, jednobrytowość stylu jest efektywna, zwraca uwagę, utrwala utrwalenie typu twórczości w opinii krytyków i czytelników. Na dłuższą jednak metę taka stypność pojęcia jednolitości stylu rodzi własną rupieciarnię. Eksploatowane zbyt długo sposoby wyrazu stają się automatycz-

ne. Twórczość poetycka poety posiada- jącego taki własny monolityczny styl — przetrada się w powtarzanie własnych min i grymasów. Nawet odkrycia poetyckie, nawet dowcipne propozycje językowe, zbyt często stosowane, stają się manierą i prowadzą do autoparodii.

Czytamy niekiedy w prasie utwory poetyckie, których jedyną wymową jest potwierdzenie odrębności stylu poety. To nam jednak nie wystarczy. Czytelnikom i odbiorcom. Chętnie wierzymy, że poeta jest jedyny i niepowtarzalny, ale co nam na to powiedzenia? Czy jego niepowtarzalność i wyjątkowość zaspokaja tę potrzebę liryki, która nas skłania mimo wszystko czasami do czytania wierszy?

Wydaje się, że wszyscy niemal wielcy poeci posiadali kilka nurtów twórczości. Jedni uprawiali lirykę i satyrę na przemian, szukając w tej zmienności odświeżenia własnych oczu i własnego odczuwania. Poważni lirycy i myśliciele nie wstydzili się lekkiego epigramatu. Pisali je tą samą ręką, co wielkie poematy. Inni nie bali się przerywania w różne formy i nawet różne stylizyki. Siła wewnętrznej indywidualności strzegła linii łączącej różne nurty tego samego twórczego niepokojem. Czy trzeba przypominać nazwiska?

Myślę oczywiście o Kochanowskim. Jego renesansowe bogactwo form i stylów nie rozbiła nam bynajmniej jednolitość tej ogromnej postaci. Mickiewicz przeszedł skokami przeróżne poetyckie strumienie. Jego każdy utwór jest inny, na innej fali poezji, jakby poeta pisał na różne instrumenty. A mimo to pozostaje jak najbardziej sobą. Mickiewicz cały w stylu wspaniałych Sonetów Krymskich — byłby nie do zniesienia, byłby nudny, nie byłby Mickiewiczem.

Ta nie dbająca o bezwzględną konsekwencję stylu wielkoduszność była też cechą niektórych współczesnych

poetów. Najwięcej miał jej Galiński, który przyznawał się do tego, że nie lubi tzw. awangardy. Nie lubił jej zapewne właśnie za sztywność i wyłączenie założeń poetów „Zurownicy”, on, który kipiał różnorodnością swego talentu, któremu nie wystarczyłby jeden sposób wypowiedzi.

Czynienie fetysza ze stylu, z konsekwentności tego stylu, wplątując czasami we własne sieci najzdolniejszych poetów średniego i młodszego pokolenia. Sprawa to sztywność konsekwencji, pycha bezwzględnej jednolitości, z których poeci ci czynią ideał postawy artystycznej. Tymczasem ten ideał umówiono nam. Nie jest on wcale sprawdzony w wiekowym dorobku i rozwoju sztuki.

Trzeba mieć odwagę, trzeba umieć nie tylko dochodzić do własnego stylu, ale też rozbić go, porzucić, zmienić. Nie ma w sztuce osiągnięcia ostatecznego. Nie ma w poezji trwałych odkryć stylistycznych. Żadne zdobycze i żadne odkrycia nie leżą się w sztuce na zawsze, ani nawet na okres jednego pokolenia. Każde odkrycie jest chwilo- we, jednostkowe, ważne tylko w obrębie danego dzieła.

Mój Boże, to przecież dlatego właśnie sztuka jest taka trudna i wymaga od twórcy wysiłku nieustającego.

W perspektywie historii, a także, o dziwo, w recepcji współczesnych śmiertelników, ważne jest przede wszystkim to, co poeta miał nam do powiedzenia, oraz to, co reprezentuje on jako człowiek. Czy znaczy to, że forma jest mniej ważna, że przychodzi sama? Tak nie jest. Jednak sprawy formy i stylu są zawsze funkcją indywidualności poety, z którym obcuje poprzez jego dzieło, są wyrazem i miarą jego kalibra jako człowieka, jego wrażliwości i umysłowości. Żadna raz odkryta, jedna formuła artystyczna nie może określić żywego człowieka.

Ślad wiedzy przez Rzeszowszczyznę

CECYLIA BŁONSKA

SESJA naukowa poświęcona twórczości Marii Konopnickiej, która w związku z 50 rocznicą śmierci poetki odbyła się w r. 1960 w Łańcucie, okazała się imprezą nie tylko ściśle okolicznościową, krótkotrwałą.

Referaty, jakie wygłosili lub też przysłał polscy naukowcy oraz z krajów europejskich, a także i z Ameryki zostały powielone i udostępnione wyższym uczelniom, przekazane bibliotekom, częściowo i szkołom. Wydana pod koniec roku ubiegłego przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą 385 stronice druku licząca książka pt. „Śladami życia i twórczości Konopnickiej”, przyniosła szereg materiałów z łańcuckiej sesji.

Szkice historyczno-literackie, wspomnienia, materiały biograficzne zawarte w książce wydanej z inicjatywy Towarzystwa im. Marii Konopnickiej, opracował i zebrał dr Jan Baculewski, wiceprezes Zarządu Głównego Towarzystwa, dyrektor biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, który od szeregu lat prowadzi badania nad spuścizną literacką Konopnickiej, nad jej wielką a nie przebadaną korespondencją. Część książki spięta wspólnym tytułem „Śladami życia” obejmuje materiały związane z latami życia pisarki spędzonymi w Suwałkach, w Kaliszu, w Bronowem, Gusińcu; jest szkicem traktującym o dworku w Żarnowcu, darze jubileuszowym narodu dla poetki, są wspomnienia, których autor przypomina „Odwiedziny w dworku” (w Żarnowcu).

Na ostatnim zebraniu Zarządu Głównego Towarzystwa im. Marii Konopnickiej (które ma za sobą pięć lat działalności) słyszeliśmy informację o aktualnych studiach, publikacjach, świadczących o tym, iż konferencja w Łańcucie przyczyniła się do pewnego ożywienia w tej dziedzinie. O nowych przekładach i wydawnictwach informują m. in. zagraniczni uczestnicy, jak Kujo M. Kujew z Sofii, który przelożył na język bułgarski zbiorek utworów poetki. Radziecka badaczka literatury, Astra Piotrowska, która wystąpiła w Łańcucie z referatem pt. „Pośród zwłastunów burzy”, opracowała biografię Konopnickiej w języku rosyjskim, przelożoną już również na język ukraiński. W Czechosłowacji tłumaczka Marta Dworzaczkowa w zbioru zatytułowanym „Na fujarce” przekazała czeskim czytelnikom liryki Konopnickiej. Zapowiedziane są dalsze przekłady wybranych utworów na język włoski, przygotowywany jest do druku zbiór liryków w Japonii. Kierownik Stacji Naukowej PAN we Włoszech znany uczyony, filolog Bronisław Biliński opracował referat o motywach antycznych w poezji Konopnickiej. W Nervi nad morzem wmurowano tablicę, która przypomina, że tu we Włoszech przebywała Konopnicka.

Nakład „Śladami życia i twórczości Konopnickiej” jest wyczerpany. Czynnione są starania by Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza podjęła drugie wydanie tej książki, która dość widocznie przesunęła wiedzę o Konopnickiej z dziedziny legend na grunt rzeczywistych faktów.

Wyczerpany nakład nie jest oczywiście dowodem powszechnej popularności czy też spontanicznego renesansu zainteresowań dla całej twórczości poetki. Zakład kultury masowej przy PAN podjął naukowe badania, jak m. in. na dziele Konopnickiej manifestuje się zmienność gustów literackich.

Tych, których pisarka interesuje jako baczny obserwator problemów społecznych, jako krytyk literacki, z ciekawości przygotowano do druku tom studiów Konopnickiej, które napisała o „Odzie”, o „Grażynie” Mickiewicza, o Amyku, Prusie, Orzeszkowej, zbiór rozważań o bankructwie idei liberalno-mieszczanskiej, o wychodźstwie w Brazylii: znajdują się tu również przemówienia, a m. in. i owo wygłoszone na jubileuszu w Żarnowcu.

Pisma krytyczno-literackie i społeczne Konopnickiej — zdaniem krytyków — ukazują ją w świetle innym aniżeli łzawie liryki, stanowiąc, jak określa je często dzisiejsza młodzież, typowe obrazy „ponuractwa”. W tych mało znanych pismach literackich i społecznych, autorka ujawnia się jako ironista, pisarz pełen humoru.

Ossolineum wrocławskie opublikuje również, pod redakcją dr J. Baculewskiego, trzy tomy listów. Tom I obejmujący korespondencję z lat 1860—1890, oddany zostanie do druku w maju br. Tom II przyniesie korespondencję z roczlicznymi podróży pisarki w latach 1891—1901, tom III, obejmować będzie listy z okresu 1902—1910, związanego z jubileuszami i z końcem twórczości. Korespondencja różnorodna, traktująca o sprawach zasadniczych narodu, jak i o najbardziej intymnych, skomplikowanych problemach rodzinnych, które nieustannie trącały na całym życiu poetki, stale powiększa się o nieznane materiały. Do dyrektora muzeum Mickiewicza w Warszawie zawodowy zbieracz przyniósł niedawno stojący zegar, twierdząc, iż stanowił on własność Konopnickiej. Gdy w muzeum podano w wątpliwość jego zapewnienia,

I żeby nie dręczyć Czytelnika zagadkowością tytułu, spieszę z wyjaśnieniem, że mowa będzie o trzech paktach — jubilatych: o NATO, SEATO i CENTO. Pierwszemu z nich, tzn. paktowi północno-atlantyckiemu, stuknęło w kwietniu 15 lat, pakt południowo-wschodniej Azji niezadługo „ukończy” lat 10, zaś CENTO czyli pakt centralny ma, z formalnego punktu widzenia, lat 9, jeśli jednak uwzględnić, iż jego faktycznym początkiem był podpisany w kwietniu 1954 r. układ między Pakistanem i Turcją, to okaże się, że i on obchodzi już swój „okrągły” jubileusz dziesięciolecia.

Była to zakrojona na gigantyczną skalę strategia, zmierzająca do opasania Związku Radzieckiego i państw demokracji ludowej idealnie przylegającym pierścieniem krajów związanych militarnymi sojuszami antykomunistycznymi. U podstaw tej długofalowej strategii leżała nadzieja, że w ten sposób uzyska się możliwość szantażowania Związku Radzieckiego i wymuszenia na nim ustępstw, że uda się zlikwidować zapuszczałą dopiero korzenie ustrój ludowo-demokratyczny, że opasawszy wszystkie kraje socjalistyczne — w Europie i w Azji — ścisłym kordonem sanitarnym, położą się tamę postępowi wszelkich ruchów rewolucyjnych i narodowo-wyzwoleńskich. Nadzieję tę spotęgowała wiara w amerykański monopol atomowy, w późniejszym zaś okresie, kiedy Związek Radziecki udowodnił, że Stany Zjednoczone tego monopolu już nie posiadają — wiara w amerykańską przewagę atomową.

Wszystkie te czynniki sprawiły, że strategię okrążania uznano nie tylko za potrzebną, ale także za możliwą i skuteczną. Zadbano więc o to, żeby w tym pierścieniu nie było wyrwy, a także i o to, aby poszczególne pakt były ściśle ze sobą sprzęgnięte. I tak Turcja, najbardziej na wschód wysunięty kraj NATO-owski, została również członkiem CENTO, zaś Pakistan, członek CENTO, przystąpił także do paktu SEATO. Ale czynnikiem rzeczywistości spajającym i wprawiającym w ruch te trzy pakt było członkostwo (jeśli to bezbarwne określenie potrafi tu oddać istotny stan rzeczy!) Stanów Zjednoczonych w każdym z nich. W NATO, CENTO *) i SEATO. Jako spoiwo łączące wszystkie te pakt w jeden zsynchronizowany system, służyły amerykańska broń, amerykańskie dolary i co nie najmniej ważne — fabrykowane w USA i eksportowane do wszystkich zakątków świata kapitalistycznego atmosfera strachu przed agresją komunistyczną. Nie żeby schlebiać np. Szwedom czy Hindusom, ale jeśli ich kraje w owym czasie nie poddały się panice i naciskom i nie zgłosiły swego akcesu do organizowanych w ich regionach paktów — to przypisać to należy ich nie byle jakiemu spokojowi i rozsądkowi politycznemu.

Oto pokrótce — bo na tyle tylko pozwalają skąpe ramy felietonu — rodowód i technika montowania trzech antykomunistycznych paktów militarnych oraz, również pokrótce, atmosfera polityczna, w jakiej to montowanie się odbywało. Przywództwo amerykańskie było w tych czasach bezsporne. Spoiwo — niezawodne. Posuszeństwo wobec swego przywódcy — bezgraniczne. Przypomnijmy tylko, że to przecież w tamtych czasach utarło się w ONZ określenie „amerykańska maszyna do głosowania”. I przypomnijmy jeszcze

na dowód przyniósł 180 listów, które z miejsca rozbiły ustaloną już koncepcję zbioru korespondencji, wnosząc nowe momenty.

Z nowości wydawniczych warto wspomnieć także o włączonym do planu tzw. serii celofanowej PIW-u wyborze liryków Konopnickiej.

Na brak zwiędających nie może narzekać otwarte w roku 1960, w przeddzień jubileuszowej sesji łańcuckiej muzeum biograficzne poetki w Żarnowcu, aczkolwiek walczą ono jeszcze z szeregiem trudności organizacyjnych i materialnych. Setki zwiędających, przedstawiciele Polonii zagranicznej, którzy tutaj trafiają, dowodzą żywotności tej placówki. Jej zbiory często powiększają dary rozmaitych miłośników.

W roku bieżącym Rzeszowszczyzna przygotowuje się do przyjęcia w Juli-

— to było, zdaje się, w roku 1955 czy 1956 — że ówczesny prezydent Francji przy jakiejś okazji wyraził się (cytując z pamięci, więc za dosłowność nie ręczę), że na ołtarzu jedności atlantyckiej każdy kraj musi złożyć ofiarę z części swej suwerenności.

Tak to było. I minęło bezpowrotnie. A oto kilka przykładów na to, że minęło.

W kwietniu br. w stolicy Filipin, Manili, na sesji rady ministerialnej

3 WIEŻE BABEL STEFAN CHANIEC CHANACHOWICZ

SEATO przyjęto deklarację stwierdzającą, że pokonanie powstańców w Wietnamie Południowym jest „niezbędne dla bezpieczeństwa Azji południowo-wschodniej” i że w związku z sytuacją w tym kraju członkowie SEATO mają pozostać w gotowości, aby w razie potrzeby „podjąć dalsze konkretne kroki”. Deklaracja, rzecz można, bojowa, tyle tylko, że jeden z członków SEATO, mianowicie Francja, odmówiła złożenia pod nią swego podpisu. Francja uważa bowiem, że dla Wietnamu Płd. możliwe jest tylko rozwiązanie polityczne, a nie, jak utrzymują Amerykanie, rozwiązanie militarne. Na tejsze sesji Anglia miała pretensje do Stanów Zjednoczonych za ich stosunek w kwestii Malajzji. I na tejsze sesji premier i minister spraw zagranicznych Nowej Zelandii, Holyoake, zaprotestował przeciwko francuskiej zapowiedzi przeprowadzenia doświadczeń z bronią atomową w obszarze Południowego Pacyfiku. Niemato to kontrowersji jak na trzydniowe obrady reprezentantów krajów sojusznicznych.

W kwietniu odbyła się w Waszyngtonie sesja rady ministerialnej paktu CENTO. Ministrowie spraw zagranicznych USA i W. Brytanii w swych wystąpieniach wstępnych kładli nacisk na „groźbę agresji komunistycznej”, podczas gdy ministrowie krajów azjatyckich nie tylko że ani razu nie użyli zwrotu „groźba agresji komunistycznej”, ale nawet nie wymienili słowa „komunizm”. Na co natomiast kładli nacisk, to na konieczność zacieśnienia współpracy ekonomicznej i kulturalnej między członkami paktu. Wiadomo również, że w trakcie samych już obrad, które toczyły się przy drzwiach zamkniętych, Turcja wysunęła wobec USA i W. Brytanii zarzut z powodu niewłaściwego jej zdaniem stanowiska rządów tych krajów w sprawie Cypru. Stany Zjednoczone miały pretensje do Pakistanu za próby unormowania stosunków z Chinami, zaś Pakistan do Stanów Zjednoczonych — za pomoc okazywaną Indii, z którą Pakistan ma zażarty spór o Kaszmir.

Jeśli o NATO chodzi, przytoczenie przykładów rozbieżności jest sprawą najłatwiejszą i najtrudniejszą zarazem. Najłatwiejszą, bo faktów tych aż tyle. Najtrudniejszą — bo rzeczywistość nie wiadomo, co by tu z tego wybrać. Tu każdy dzień niemal i każda dziedzina

nie koło Łańcuta wielkiego obozu młodzieży polonijnej. Przybędą tu również z Francji, Belgii, NRF, USA, potomkowie Polaków wywodzących się z Rzeszowszczyzny. Wśród rozmaitych imprez i wycieczek zaplanowano dla nich wycieczkę do Żarnowca oraz występ zespołu pieśni i tańca Związku Młodzieży Wiejskiej z Glinika Zaborowskiego. Zespół ten z powodzeniem występował w środowiskach polonijnych we Francji także i z repertuarem Konopnickiej. Miałam okazję słyszeć w wykonaniu tego zespołu pieśń o domu rodzinnym i przyznać trzeba, że zespół śpiewa ją pięknie. Uniwersytet Ludowy Związku Młodzieży Wiejskiej we Włodzowie koło Brzozowa (województwo rzeszowskie), wystąpił na okolicznościowej imprezie poświęconej pisarce z utworem „Galleus”. Młodzi chłopcy i dziewczęta, przeważnie organizatorzy życia kulturalnego na wsi, zaprezentowali swoje przedstawienie pod gołym niebem na tle muzeum w Żarnowcu.

Tu i ówdzie młodzież szkolna, tam zwłaszcza gdzie sprzyja temu nauczyciel-polonista, organizuje koła Towarzystwa Konopnickiej, jest takie koło w Żarnowcu, w Rzeszowie.

Oczywiście Dni Oświaty, Książki i Prasy w sposób naturalny, by tak po-

(Dokończenie na str. 8)

stosunków międzysojuszniczych przysparzają stale i wciąż więcej i więcej sensacyjność, które właśnie ze względu na tę ich częstotliwość nie zawsze już nawet trafiają na pierwsze strony dzienników. No bo rzeczywistość, Cypr i zaognienie stosunków między dwoma członkami NATO — Grecją i Turcją. Kontrowersje francusko-angielskie na tle zabiegów Anglii o przyjęcie do EWG. Pretensje NRF do wszystkich niemal „atlantydwów” europejskich o to, że nie kwapią się z zaakceptowaniem tzw. wielostronnych sił nuklearnych NATO, w której to imprezie Niemcy zachodnie widzą szansę dochrapania się broni nuklearnej**). Stanowcze „nie” Norwegii i Danii wobec nacisków dowództwa NATO, zmierzających do rozlokowania broni nuklearnej na ich terytoriach. I to wszystko między sojusznikami, między członkami NATO. A tu jeszcze Francja w maju postanawia wycofać swoich oficerów marynarki ze sztabów tego paktu.

Starczyło zresztą porównać listę amerykańskich postulatów, przedstawionych przez Deana Ruską na majowej dorocznej sesji rady NATO w Hadze (m. in. w sprawie przyłączenia się sojuszników do stosowanej przez USA gospodarczej blokady Kuby, w sprawie „umiędzynarodowienia” amerykańskiej wojny w Wietnamie Południowym) z tekstem komunikatu końcowego sesji, aby przekonać się, że nie z tych amerykańskich zabiegów nie wyszło.

„NATO traci swą spoiwość” — pisze paryski „Le Monde”. „Rozgardiasz panuje w NATO” — stwierdza New York Times. „Zachodnią Europę przesładowuje widmo rozpadu sojuszu atlantyckiego” — konstatuje londyński „Economist”. I to samo dotyczy — w mniejszej lub większej mierze — paktów CENTO i SEATO. Zniknęły bowiem warunki, które onego czasu sprzyjały zmontowaniu tych paktów. Nikt dziś, nawet najgłupszy z rządów nie wierzy, że uderzenie na Związek Radziecki jest możliwe bez narazania się na niebezpieczeństwo samozagłady. Nikt też nie wierzy dziś, że Związek Radziecki komukolwiek zagraża. Zarówno potęga Związku Radzieckiego, jak i jego polityka pokojowego współistnienia, są dziś w świecie jednako znane. Równocześnie zanika wszechmoc Stanów Zjednoczonych wobec sojuszników. Między innymi — ze względu ekonomicznych również. Zabiedzona po wojnie Europa zachodnia dziś swym potencjałem produkcyjnym dorównuje Stanom Zjednoczonym i z petenta przeobraziła się w partnera, i to bardzo wymagającego partnera. Wszystko to sprawia, że kraje uczestniczące w zmontowanych przez Amerykanów paktach zarzucają język „amerykański” i przechodzą na swoje języki narodowe. Dobrze to zjawisko dla rozwijania normalnej i równoprawnej współpracy międzynarodowej. Niedobre dla utrzymywania na siłę anarchicznych paktów. Bo wtedy ta różnorodność doprowadza do stanu, jaki się tam właśnie obserwuje. I przychodzi na pamięć legendę o wieży Babel, z całym jej zakończeniem.

*) USA formalnie nie należą do CENTO, ale aktywnie uczestniczą w pracach komisji tego paktu oraz w sesjach jego Rady.
**) Z wypowiedzi generalnego inspektora Bundeswehry, gen. Treitnera: „Wielostronne siły — to nie ostateczny etap. Jakże trudno będzie naszym sojusznikom amerykańskim utrzymać swe zastrzeżenia przeciwko naszym atomowemu uzbrojeniu, gdy już mocno zaangażujemy się w siły wielostronne”.

MIT CZY INSTYTUCJA USTROJOWA?

EMANUEL ISERZON

ARTYKUŁ Wandy Falkowskiej pt. „Interwencje i mity” („Prawo i Życie”, nr 3 br.), w którym autorka zwraca się ze swych zastrzeżeń co do stosowności i pożyteczności interwencji prasowych w sprawach poszczególnych osób, wywołała ożywioną i zasłużoną dyskusję na łamach prasy teoretycznej i terenowej. Zasłużoną — dlatego, że usprawiedliwiona i powagą sprawy, a także wartością artykułu napisanego z dużą pasją i zaangażowaniem osobistym — gdyż autorka jest, jak sama zaznacza, dziennikarzem parającym się od lat interwencjami w sprawach indywidualnych. Polemika została zamknięta z jednoznacznym wynikiem na rzecz utrzymania praktyki interwencji prasowych.

Wynik uważam za zadowalający. Ale dyskusja, zdaniem moim, nie wyczerpała sposobności do ukazania roli prasy w naszym ustroju i dlatego słuszne wywody osnute przeważnie na względach praktycznych nie są być może w pełni sugestywne. Wydaje się, że gdyby te same wywody były poparte rozważaniem choćby najbardziej sumarycznym kapitalnego problemu społecznej roli prasy w naszym ustroju, nabrałyby one mocniejszych rumieńców. Kto wie, czy cała dyskusja, oderwana od pryncypiów ustrojowych, mimo wspomnianego wyniku, nie obudziła i pozostawiła w czytelniku cienia wątpliwości co do — niewątpliwego dotąd — zasięgu uprawnień interwencyjnych prasy. I czy nie ma w tym względzie trochę racji Aleksander Bocheński pisząc: „Artykuł, którego charakter dyskusyjny zaznaczony jest dość dyskretnie, niewątpliwie użyty być może w procesach jako broń przeciwko dziennikarzowi interwenującemu...” („Kierunki”, nr 7 br.).

Według danych UNESCO, ukazywało się na świecie w 1952 r. codziennie 224 miliardy egzemplarzy gazet, tj. 1 egzemplarz na 10 mieszkańców. W jednej Polsce w 1962 r. ukazało się przeszło 2 miliardy egzemplarzy gazet i czasopism, co daje 1 egzemplarz dziennie na 5,5 mieszkańców i świadczy o tym, że w Polsce czytelnictwo prasy jest dwukrotnie wyższe od przeciętnej światowej. W porównaniu z tym stanem rzeczy prasa w XVIII i na początku XIX wieku miała wymiary miniatury — wielokrotnie mniejsze. A przecież już wówczas Rousseau nazwał prasę czwartym filarem państwa, a Napoleon — siódmym mocarstwem...

W Polsce władza należy do całego narodu. Wykonuje on ją przez swych przedstawicieli, których wybiera do Sejmu i rad narodowych. Każde prawo i każdy akt władzy i administracji państwowej powinien być wyrazem interesów i woli narodu. Każdy akt władzy i organu administracji państwowej podlega kontroli narodu. Wszystkie organy państwowe opierają się w swej działalności na świadomym, czynnym współdziałaniu najszerszych mas ludowych (Konstytucja, art. 1, 2, 5, 15). Nie wszyscy obywatele biorą bezpośrednio udział w życiu politycznym i społecznym, ale już sama rzesza aktywnych jednostek — posłów, radnych, pracowników prezydium rad narodowych, członków partii i stronnictw, członków organów innych organizacji społecznych — stanowi wielomilionową masę. Poza tym wszyscy dorośli obywatele powinni wykonywać świadome akty wyboru swych przedstawicieli do przeróżnych organów stanowiących o sprawach publicznych.

Obywatel, który nie wyrobił sobie poglądu na sprawy społeczne, nie może brać świadomego udziału w wykonywaniu funkcji publicznych. Nie umie nawet zająć krytycznej a trafnej postawy wobec działalności organu państwowego skierowanej do niego osobiście. Wybrani przedstawiciele do organów władzy i pracownicy aparatu państwowego, którzy nie zdają sobie sprawy z aktualnych potrzeb państwowych i środków zaspokajania tych potrzeb, nie mogą skutecznie wykonywać swych obowiązków. W społeczeństwie bez wyrobionych poglądów na sprawy publiczne, wśród narodu nie informowanego lub źle informowanego o sprawach publicznych nie może powstać zdrowa i twórcza opinia publiczna. A społeczeństwo bez opinii publicznej nie jest społeczeństwem naprawdę wolnym. Prasa jest tą wszechnicą, w której pobiera dzień w dzień (codziennie aktualizowaną) naukę o sprawach publicznych cała Polska czytająca — cały „narod uczący się”. Prasa jest trybuną powołaną do kształtowania i głoszenia opinii publicznej. Na akademii z okazji 300-lecia

prasy polskiej (styczeń 1961) mówił Józef Cyrankiewicz: „(Prasa polska) w ciągu minionych 300 lat stała się nie tylko coraz ważniejszym składnikiem życia, ale także czynnikiem oddziałującym na kształtowanie się opinii i postaw społeczeństwa. Była z jednej strony zwierciadłem tego życia, a równocześnie orężem w walce o przetworzenie tego życia... Nie ma dla dziennikarza pracy bardziej szacownej, równie niezależnej jak praca w prasie służącej sprawie socjalizmu... która pomaga ludziom żyć, gospodarować, kształcić się i rozumieć świat po to, by go zmienić na lepsze, przebudować zgodnie z interesami człowieka pracy”.

W uznaniu tego państwowotwórczego znaczenia prasy doktryna prawa państwowego zaczyna snuć koncepcję prasy jako instytucji prawa publicznego, instytucji ustrojowej — organu, do którego należy obserwowanie wydarzeń życia społecznego, poddawanie ich krytyce i postulowanie środków naprawy. Ta mglista jeszcze w nauce koncepcja ma w naszym systemie prawnym, w prawie u nas obowiązującym niedwuznaczny wyraz.

Uchwała Rady Państwa i Rady Ministrów z grudnia 1950 r. włożyła na wszystkie organa administracji państwowej obowiązek — „niezwłocznie sprawdzać wszelkiego rodzaju wiadomości prasowe dotyczące ich zakresu działania... podejmować niezbędne kroki dla usunięcia ujawnionych przez krytykę prasową braków, uchybień i wadliwości oraz zawiadomienia o wyniku sprawdzenia i przedsięwziętych krokach organu prasowy...” Był to nakaz nadmiernie ciężki — obowiązek śledzenia całej prasy. Został on złagodzony przez kodeks postępowania administracyjnego z 1960 r. Ten włożył na organa administracji obowiązek rozpatrywania i załatwiania tylko takich skarg, wniosków i artykułów, notatek mających znamiona skarg i wniosków, które zostały im przekazane przez redakcje. Zarządzenie Prezesa Rady Ministrów z 1963 r. unormowało udzielanie prasie wszelkich wiadomości.

Krytyka prasowa, interwencje prasowe, te instytucje prawa publicznego nie pozostały u nas martwą literą. „Świadectwo temu dają choćby setki tysięcy napływających do redakcji listów — z sygnałami, pytaniami, skargami, wnioskami, opiniami, projektami ludzi, którzy upominają się nie tylko o swoje, lecz często o sprawy społeczne i interesy państwa” (Józef Cyrankiewicz, tamże).

W ten sposób utwierdziło się u nas doniosłe zadanie prasy — walka z biurokracizmem. Zadanie o znaczeniu kluczowym. Zadanie, którego wagi nie podobna przesadzić. Biurokracizm jako schorzenie aparatu administracji oznacza bezduszny stosunek do obywatela ze strony pracowników tego aparatu, oznacza obojętność dla celów i zadań społecznych, dla interesów obywatela, obojętność wyrażającą się w złośliwość w stosunku do jednostki. Wanda Falkowska we wspomnianym artykule dzieli się z czytelnikami wątpliwością — czy w 20 roku istnienia Polski Ludowej, kiedy należy uznać naszą administrację za ustabilizowaną, interwencje — pisze autorka — będąc początkowo środkiem nadzwyczajnym, nabrały masowego charakteru... Interwencje prasowa stała się jeszcze jednym środkiem odwoławczym... Jest w tym jednak coś niezupełnie normalnego... Interwencje indywidualne... naprawdę czas pozostawie władzom nadrzędnym...”

Oczywiście, jesteśmy państwem w pełni ustabilizowanym o administracji już dostatecznie doświadczonej i wyrobionej. Ale byłoby niedopuszczalnym optymizmem twierdzenie, że w tym stanie rzeczy zadanie prasy w dziedzinie zwalczania biurokracizmu jest zakończone.

Monteskiusz, wielki postępowy myśliciel XVIII w., tak mówił: „Oto czego nas uczy odwieczne doświadczenie: Każdy człowiek posiadający władzę ulega popędowi do jej nadużywania... Nawet sama cnota potrzebuje hamulca”. Nasza polska administracja cnota będzie jeszcze długo potrzebować hamulca! Biurokracizm jest przewlekłą chorobą administracji, wymagającą ciągłego jej zwalczania. Tak uczył Lenin. Rola prasy, którą odegrała na etapie budowania — po wyzwoleniu — od nowa aparatu administracji, nie jest zakończona. Jej zadanie: krytyki życzliwej i twórczej — trwa.

Prasa w swojej działalności interwencyjnej powinna powołać się tak in-

LUKRECJUSZ

Hymn do Wenus*

O Eneadów macierzy, bogów rozkoszy i ludzi,
o życiodajna Wenus, ty pod gwiazd strzopem błędzących
mnogim zaludniasz stworzeniem i morze niosące statki
i ziemie pełne owoców. Z twej tylko woli poczęty
wszelki ród istot powstaje, słońca ogląda promienie.
Wiatry uczysz, o boska, chmury rozpraszasz po niebie,
ziemia przemyślna do stóp rozliczne ci kwiaty ściele.
Fale się śmieją do ciebie, niebios pogodnie błękity
blask rozświecają promienny. Gdy dzień się wiosenny roztoczy,
a pęta już zerwie w swej mocy ciepły wiatr życiodajny,
ptaki to pierwsze wśród stworzeń, twego przybycia zwlastuny,
mocą miłości nawiedzają. Dzikie i swojskie zwierzęta
runą w podskokach wesoło poprzez łąki zielone,
poprzez rzeki szumiące popłyną. Pod czarem twej sily
chciewie za tobą pogonią, dokąd je tylko powiedzisz.
W morza głębinach i gór i rzek wezbranych odmętach
i w ptaków domach krzaczastych, na polnych runiach zielonych
czarem porażasz miłosnym serce wszelkiego stworzenia.
Twoja podnieta przedłuża światła całego trwania.

Przekład Janiny Pliszczyńskiej

* Lucretius. De rerum natura. (Lukrecjusz, O rzeczywistości), Ks. I, 44 1-29.

terese powszechnym, jak i indywidualnym, i dążyć do ich pogodzenia. Ale prasa nie jest i nie może być tylko zastępcą jednostki. Nie może uznać za swój cel ostateczny pozytywnego załatwienia sprawy jednostki. Sprawa jednostki jest dla prasy tylko elementem sprawy powszechnej. Kazimierz Kąkol słusznie wysuwa hasło: „interweniować, by likwidować” źródło zła. „Interweniować, by likwidować — to dla nas oznacza konieczność niepoprzestawiania na wyrównaniu krzywdy lecz dążenie do ujrzenia jej źródeł i przyczyn... Konieczność domagania się by zastosowane zostały środki generalnie uzdrawiające” („Prawo i Życie” nr 8 br.).

Potęga prasy nie jest mitem. „Często tłumaczę — pisze Falkowska — osobom przychodzącym do naszej redakcji w różnych bolesnych sprawach — nawet jeśli napiszę wcale nie jestem pewna, czy panu, pani pomogę... Perswazje tu nie pomagają. Nie pomaga szczypta zdrowego rozsądku, którą próbuję im zaaplikować... Tu już działają mity. Mit o potęgę prasy, o wyśmienoty dziennikarzy opanował poważną część społeczeństwa”. Wolno mi chyba przypisywać sobie posiadanie tej „szczypty zdrowego rozsądku” i ponadto jakieś takie doświadczenie w sprawach administracji. A mimo to również uważam, że jeżeli jednostce stała się krzywda i właściwe instancje nie są skłonne jej naprawić — jeszcze tylko w interwencji prasowej jest ostatnia nadzieja.

Zgadzam się z uwagą: „Czy nie czas już najwyższy pomyśleć o powołaniu do życia sądownictwa administracyjnego... przed sądami tymi każdy obywatel mógłby dochodzić swoich praw w sporze z władzą administracyjną w drodze normalnego postępowania” („Słowo mitomanki”, „Prawo i Życie” nr 6 br.). Jestem zdania, że istnienie sądowej kontroli w indywidualnych sprawach administracyjnych w zasięgu powszechnym (dotąd istnieje u nas tylko na odcinku ubezpieczeń społecznych) wiele by zmieniło na lepsze. Ale istnienie sądownictwa w sprawach administracyjnych bynajmniej nie czyni zbędnym kontroli prasowej. Sądowa kontrola w tych sprawach dotyczy zagadnienia naruszenia prawa, a krzywda dotyka nieraz jednostki z tego względu, że akt organu, choć ubrany w majestat prawa, jest bezduszny, niezłoty, niecelowy. Poza tym wymiar sprawiedliwości jest zawsze nierychliwy, a efekt interwencji prasowej — natychmiastowy.

Duży wpływ krytyki prasowej na pracownika administracji jest niespornym faktem. Stwierdzają to również uczestnicy dyskusji. Wanda Falkowska nie jest tym zbudowana. Sądzi, że „byłoby zjawiskiem dużo zdrowszym, gdyby urzędnik obawiał się po prostu swego zwierzchnika, odpowiedzialności dyscyplinarnej i skutków łamania prawa” (ibidem). Istotnie urzędnik powinien żywić taką obawę. Byłaby ona bardzo konstruktywna. A jednak nie można zapominać, że penalizacja działalności urzędniczej ma swoje ujemne strony. W warunkach braku bezrobotnych, penalizacja działalności pracownika administracyjnego może znakomicie utrudniać znalezienie odpowiednich kandydatów. Jestem zdania, że lęk administracji przed krytyką prasową, jeżeli nawet nie pociąga ona za sobą represji, jest objawem bardzo zdrowym. Jest dowodem liczenia się naszych urzędników z opinią publiczną. Jest faktem pozytywnym.

Interwencyjną działalność prasy w sprawach indywidualnych — w świetle naszych zasad ustrojowych, „dobrej tradycji” i zwyczajów — należy uznać za jej podstawowe prawo i obowiązek. Jedno zastrzeżenie. Dziennikarz wykonujący interwencję nie może sprawić wrażenia, że działa jako pełnomocnik, zastępca, orędownik, kumoter strony. Powinien pamiętać, że spełnia obowiązek publiczny, realizuje podstawowe uprawnienie prasy. Nie wolno mu zatracać godności polskiego dziennikarza. „Jego rola społeczna, jego odpowiedzialność jest większa niż kiedykolwiek w przeszłości... Postęp... podnosi coraz wyżej rangę dziennikarskiego zawodu... Słowa, które pisze i wypowiada... muszą to być słowa prawdziwe i cenne... trafiające do ludzkiej wyobraźni i ludzkich uczuć” (Józef Cyrankiewicz, ibidem).

Podjezwam, że wątpliwości co do interwencji prasowej, wątpliwości, które spowodowały tak ożywioną dyskusję, zrodziły się właśnie z atmosfery troski — o to, żeby dziennikarze wykonujący interwencję pozostali wiernymi swym szczytnym obowiązkom. Sądzę, że pod tym kątem widzenia dyskusja była na pewno celowa.

JERZY KSIĘSKI Ulica Sieroca

Edwardowi Nadulskiemu,
który ulicę Sierocą
jak nikt inny namalował

Ulica Sierocą, pod górę
na księżyc jedzie dorożka;
Koń czlapie, bruki szlifuje...

Ulica Sieroca — nie ziemską,
Ulica Sieroca — boską.

Droga nie taka daleka!
Księżyc za drzewem drzemie,
łatwo można dojechać.

Mdle prześcierał chmury
opada na szare kominy,
ulica pnie się do góry,
po chwili z wysiłkiem zakręca.

Jedzie dorożka na księżyc
— pył gwiazdny jak błoto pryska —
w atramentowej nocy ślady koleja
wylacza.

Niżej domy i drzewa,
kurzu dymiące ogniska;
wzdłuż muru nikt nie idzie,
zza muru nie wraca.

Ulicą pochyłą, z księżycem
wraca dorożka na ziemię.

Jedzie aleją sierocą
graniastą trumnę wiezie.

Droga powrotna daleka,
księżyc znad drzewa ucieka,
mgłą się zasłania, przechodzi
na drugą stronę ulicy.

Na ziemi czarna dorożka,
a nad nią „wielki wóz”.

Koń gnący u wylotu
czeka wpatrzony w bruk.

Ulica Sieroca — nie ziemską,
ulica Sieroca — nie boską
choć bruk ma z okrucich gwiazd.

Za murem szumią ogrody,
koń gnący czeka pod murem
jak gdyby ostatni już raz.

DOM MŁODEGO ROBOTNIKA

DOM Młodego Robotnika przy BZPB „Fasty” ma już prawie 10-letnią historię. Wątpliwie jednak należy, czy ta rocznica jego powstania będzie okazją do uroczystych przemówień, jubileuszowych toastów i radosnych podziękowań. Jest to natomiast odpowiedni moment do postawienia sobie cyferonowego pytania — „Jak długo jeszcze...” skiego pytania — „Jak długo jeszcze...” skiego pytania — „Jak długo jeszcze...”

Na Krakowskiej jest bowiem instytucją w pewnym sensie anachroniczną. Powołany do życia w pionierskim okresie Zakładów, miał wtedy do spełnienia szereg ważnych funkcji, wykraczających poza zakres dachu nad głową dla pracowni „importowanych” z całego kraju. Należało do nich także ułatwienie dziewczętom adaptacji do nowych na ogół dla nich warunków życia miejskiego — w okresie dużych selekcji i fluktuacji kadr dawanie locum pracownikom, które zgłaszały się do pracy nie wiadomo na jak długo, często na próbę i — last but not least — zaspokajanie, a zarazem kształtowanie ich potrzeb kulturalnych.

Rola hotelu robotniczego jest ściśle związana z pewnymi — dość specyficznymi — warunkami zarówno zakładu, jak i pracowników. Poza nimi jest on dysfunkcyjny — nie tylko nie służy pewnym celom, lecz wręcz opóźnia ich realizację. Ktoś powie — trzeba go więc zlikwidować. Słusznie i dialektycznie. Ale co zrobić z jego mieszkańcami? Reporter przychodzi do niej, ale nie potrafi podsunąć żadnego praktycznego rozwiązania tego problemu. Dlatego jego pytanie, postawione na początku, jest bardzo nieśmiałe, nie dozwolone jest 138. Wszystkie mieszkanie w hotelu od kilku lat, najstarsze mieszkanie — już prawie dziesięć. Były składowe, które miało skrócony „okres socjalizacyjny”. Nie przygotowywano ich do życia w szkołach średnich i na akademach. Wywodziły się z ich rodzin, z zapasem wiedzy zdobytej w szkole podstawowej i bagażem doświadczeń kilkunastu zaledwie wiosen życia. Jest w ich biografii kawał autentycznej historii minionego dwudziestolecia.

To już prawie zupełnie niemożliwe odwrócić procesy przystosowania się dziewcząt do nowych struktur społecznych. Te wszystkie zetknięcia się różnych obyczajów, konfliktów, powolna utrata więzi z dawnymi środowiskami, wielkie i małe smutki, przeżywane z dala od domu. Sprawy te czasem powracają jeszcze w wspomnieniach: „Kiedy przyjechałam do domu z włosami „po miejsku”, ludzie na wsi się żegnali, a ojciec chciał mnie zabić...” Nie zawsze procesy adaptacyjne przebiegały łagodnie. Młode dziewczęta, wywołane spod kontroli rodziny i społeczności wiejskiej, nieźle przy tym zarabiające, zyskiwały w nowych warunkach swobodę, która je oszalała. Sporadyczne wypadki nadużywania tej swobody nie usprawiedliwiają jednak tych wszystkich, którzy z upodobaniem tworzyli wokół tych wypadków atmosferę skandalu. Odnosi się wrażenie, że teza badaczy społecznych o zanikaniu w większych miastach zainteresowania ludzi sprawami sąsiadów jest w warunkach białostockich — przynajmniej: w odniesieniu do sfery zagadnień seksualnych — bardzo wątpliwa.

Dziewczęta z „Fasty” nie przyswajają już sobie miejskich wzorów obyczajowych. One raczej je tworzą. Siedzą z kilkoma z nich w kawiarence klubowej. Są dobrze ubrane, mile, swobodnie grzeszne. Jeśli odróżniają się od przeciętnych dziewcząt, to na pewno nie w sposób niekorzystny. W tej sytuacji mieszkanie w hotelu jest ostatnią, formalną i sztuczną przeszkodą w pełnej ich adaptacji do społeczeństwa białostockiego.

Słyszały o tym, że hotel ma być likwidowany i martwią się, co się z nimi stanie. Te, które wyszły za mąż, mają większe szanse na otrzymanie mieszkania. A hotel robotniczy to nie kolektyw makarenowski — wiezy istniejące między mieszkankami są bardzo luźne, zainteresowanie sprawami grupy — bardzo minimalne.

Skarży się pani kierowniczka: „Kiedy chce zaprosić mieszkanki do jakiegokolwiek wspólnicy, nie może znaleźć chętnych. Gdy były młodsze — jakoś to się lepiej układało, ale teraz...” A ja się nie dziwię. Jest to przecież grupa w założeniu tymczasowa — poczekalnia do normalnego życia.

Wraz z moimi rozmówczyniami usiłujemy znaleźć odpowiedź na pytanie: Dlaczego mieszkanki DMR-u nie korzystają z klubu, znajdującego się tuż pod ręką, w tym samym budynku (te, z którymi rozmawiam, przyszły tu na moje zaproszenie). Zwykle sale świecą pustkami. Ładne urzędniczki nie wykorzystane wyglądają dość smętnie.

Jedną z dziewcząt jest zdania, że to kwestia tradycji: „Dawniej był tu klub wyłącznie dla członków NOT-u. My nie mogliśmy przychodzić. Zresztą po co? Spotykaliśmy się tu ludzi wyłącznie z wyższych sfer”.

Opinia ta jest zbiedzna z wypowiedzią młodego pracownika umysłowego Zakładów: „Dawniej nie chodziłem do Klubu. Właściwie byłem początkowo kilka razy — potem przestałem. Spotykali się tam różni lekarze i inżynierowie, by grać w brydża. Nie gram w brydża, a na tematy, o których mówili, nie miałem nie do powiedzenia”.

Zamęczam pytaniem dosłownie wszystkich. Społeczny opiekun klubu, pan Andrzej Jęlmczuk, rozkłada bezradnie ręce: „Próbowałam najróżniejszych form pracy. Brak nam już inwencji. Właściwie tylko wieczorki taneczne i filmy są akceptowane. A my proponujemy wiele innych rozrywek...”

Czyżby więc zła tradycja? Zawsze jestem skłonny doceniać wpływ tradycji, lecz tym razem uporczywie szukałem innych przyczyn.

Klub nie jest już „gettem” inteligencji technicznej. Pozostał jednak wciąż klubem zamkniętym i tylko dla pracowników „Fasty”. I, moim zdaniem, tu jest pies

ZDARZENIE autentyczne. Do architekta powiatowego w jednym z białostockich miasteczek przyszedł rolnik, przed parą tygodniami sponęły mu zabudowania. Z Państwowego Zakładu Ubezpieczeń otrzymał należne odszkodowanie i chciałby jak najszybciej przystąpić do odbudowy domostwa. Odszedł jednak z niczym. „Nie możemy wydać zezwolenia na budowę, ponieważ wasza kolonia w perspektywie nie jest wsią rozwojową”.

Chłop wyszedł z przestronnego gabinetu, postać chwili na korytarzu, podumał i po kilku minutach zjawiał się ponownie u architekta. „Panie inżynierze — mówił — a na budowę bez tej perspektywy otrzymam zezwolenie?” Architekt długo wyjaśniał, że takie są przepisy, których on musi skrupulatnie przestrzegać. Chłop był jednak nieustępliwy. „Ale pan ciągle myśli, że ja koniecznie chcę budować z tą perspektywą. Jak Boga kocham, panie inżynierze, wystarczy mi domek, obórka i nieduża stodoła. Nic więcej”.

Być może zdarzenie, które przytoczyłem, zakrawa na anegdotę, ale sygnalizuje ono pewien problem, który może zahamować rozwój budownictwa wiejskiego. O coż idzie? Wiadomo, że obecnie budujemy zarówno w mieście, jak na wsi planowo. Wszystkie miasta powiatowe, miasteczka i większe osiedla otrzymały plany zagospodarowania przestrzennego. Podobne plany opracowuje się w Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej oraz zespołach projektowych w niektórych powiatach województwa białostockiego.

Plany zagospodarowania przestrzennego porządkują dalszą rozbudowę oraz przebudowę miasta i wsi. Po zatwierdzeniu przez odpowiednie władze budowlane i terenowe stają się dokumentami, którymi muszą kierować się architekci powiatowi przy wydawaniu pozwoleń na budowę budynku mieszkalnego, gospodarskiego, obiektu produkcyjnego, budynku użyteczności publicznej itp. Zasada bardzo słuszna i nie podlegająca dyskusji. Planowanie przestrzenne (perspektywiczne) zdobyło sobie prawo obywatelstwa w większości krajów, ponieważ wprowadza porządek w działalności inwestycyjnej.

Opracowanie perspektywicznych planów przestrzennych musi jednak być ściśle powiązane z powstawaniem szczegółowych planów urbanistycznych poszczególnych miast i osiedli oraz wyznaczeniem terenów budowlanych we wsiach rozwojowych czyli tych, które wytypowano do dalszej rozbudowy. Niestety, w wielu miastach i osiedlach na Białostocczyźnie poprzestano na zatwierdzeniu planów ogólnych zagospodarowania przestrzennego.

Chyba nie potrzebuje wyjaśniania, jakie to ma skutki. W Drohiczyne n/Bugiem czy Narewce k/Białowieży wielu mieszkańców nie może przystąpić do budowy domków lub budynków inwentarskich, ponieważ na ich działkach w przyszłości staną budynki wysokie, kilkupiętrowe. Owszem w obu miasteczkach projektanci wyznaczyli tereny pod budownictwo parterowe typu miejskiego i wiejskiego, ale przy obecnym układzie działek budowlanych, bez szczegółowego planu urbanistycznego, nawet na tych terenach nie można przystępować do budowy. Przepisy nie pozwalają.

Podobne niebezpieczeństwo istnieje na wsi. Prawda, opracowywanie perspektywicznych planów przestrzennych znajduje się tutaj dopiero w początkowym stadium, ale już zdarzają się wypadki, że architekci powiatowi nie pozwalają budować na tzw. wsiach nierozwojowych. Co ma jednak czynić rolnik, jeśli w sąsiedniej wsi rozwojowej nie wyznaczono dotychczas terenów budowlanych? Architekci od-

pogrzebani. Ludzie spotykają na terenie klubu przeważnie znajomych z pracy. Bardzo często są z nimi związani całym szeregiem współzależności formalnych, wynikających ze struktury zakładu. W tych warunkach nie może być mowy o nawiązaniu jakichś kontaktów towarzyskich o charakterze bezpośrednim, osobistym, intymnym. Tym można wytłumaczyć zachowanie mieszkanki DMR-u, która „woli z miłym porozmawiać siedząc na parapecie, niż w miękkim klubowym fotelu”.

Inną przyczyną jest chyba ów brak poczucia stabilizacji życiowej, całkowite zresztą usprawiedliwiony przyczynami, o których mówiło się wyżej.

Nie oklamujmy się więc, że lokatorki hotelu nie dorosły jeszcze do pewnego stylu spędzania wolnego czasu. Spotkamy je gdzie indziej: w kinie, innym klubie, kawiarni, na dancingu — mile „fastowskie” dziewczęta.

Czas, by właściwe czynniki rozważyły, co zrobić z klubem, który świeci pustkami w dobie, gdy różnym żywym placówkom brakuje bazy lokalowej.

Ryszard Grębowski

MASZ CIŁOPIE PRZEPIS

STANISŁAW ŚWIERAD

powiadają: czekać. Odważniejsi architektki, którym leży na sercu rozwój budownictwa w ich powiecie, lamia niezyciowe przepisy i na własną odpowiedzialność zezwalają na budowę.

Kilkadziesiąt wsi białostockich otrzyma w najbliższym czasie plany zagospodarowania przestrzennego, geodeci wyznaczają odpowiednie tereny, na których będzie można stawiać domy mieszkalne i budynki inwentarskie. Wiadomo jednak, że projekt w zdecydowanej większości przekreśla dotychczasowy układ działek budowlanych w poszczególnych wsiach. Zajądzie pilna konieczność wymiany działek. Kto ma się tym na wsi zajmować? Sprawa niezmiernie ważna, a jednocześnie bardzo kłopotliwa wobec mentalności wielu mieszkańców wsi, którzy często mają z sobą jakieś porachunki, jeśli chodzi o ziemię.

Obok perspektywicznych planów przestrzennych ważnym czynnikiem porządkującym działalność inwestycyjną, zwłaszcza na wsi, jest nowe prawo budowlane, które niedawno weszło w życie. Okazuje się, że nie wszystkie jednak przepisy tego prawa dostosowane są do aktualnej rzeczywistości. Przewidują one m.in., że na wsi wolno budować nowy budynek w odległości 30 metrów od drewnianej stodoły. Intencja prawodawców była niewątpliwie mądra: zapobiec ewentualnym pożarom. Czy jednak te trzydzieści metrów powinno obowiązywać w każdym rejonie kraju?

Na Białostocczyźnie znaczna ilość stodoł (ponad 80 proc.) zbudowanych jest z drewna. Tak się złożyło, że rolnicy posiadają skromne działki budowlane. I jakkolwiek by mierzyli, w żadnym wypadku nie potrafia na swoim podwórku znaleźć 30-metrowej odległości. I jeśli chcą budować legalnie, za pozwoleniem architekta powiatowego, np. obór, powinni najpierw zburzyć drewnianą stodołę. Innego wyjścia nie ma.

W powiecie łomżyńskim kilku inżynierów wybrało się do trzech wsi i dokonało niezbędnych pomiarów. I co się okazało? W tych trzech wsiach tylko pięciu rolników na kilkuset mogło budować zgodnie z przepisami nowego prawa budowlanego. Inni powinni rozebrać drewniane stodoły. Jeśli przepisy są niezyciowe, należy je zmienić. Dostrzegają to białostockie władze budowlane. Do Warszawy wyjechały nawet w tej sprawie delegacje, ale bez skutku.

Gdy już jesteśmy przy przepisach, wypada wspomnieć jeszcze o jednym, a mianowicie o tym, który zabrania pracownikom powiatowych wydziałów architektury i nadzoru budowlanego wykonywania szkiców sytuacyjnych do projektów typowych. Owszem, znowu intencja tych, którzy wydawali zarządzenia, była słuszna. Chodziło o to, aby nie dopuścić do nadużyć. Kto jednak w takim Kolnie czy Mońkach ma narysować chłopu szkic sytuacyjny do projektu typowego? Pracownicy wydziałów architektury i nadzoru budowlanego rad narodowych są w wielu miastach jedynymi fachowcami w tej dziedzinie.

Dlatego bardzo często rolnicy z Golepki, Siemiatycz, Sejna, Kolna muszą jeździć do Białogostoku, szukać fachowców, którzy za słoną gotówkę wykonują im szkice sytuacyjne. Wydaje się, że należy anulować ten niezyciowy przepis, albo zorganizować w powiatach zespoły projektowe, które zajmowałyby się adaptowaniem projektów typowych. Obecnie rolnicy wędrują od Annasza do Kajfasza, tracąc cenny czas i cenną gotówkę, którą mogliby spożytkować na budowę.

Wspomniałem o kilku przepisach, które zamiast spodziewanego porządku wprowadzają do budownictwa wiejskiego chaos, nieporządek. Czas najwyższy, aby sytuacja w tej dziedzinie się zmieniła.

JESZCZE O PEWNEJ WYSTAWIE

ZYGMUNT CIESIELSKI

KILKA tygodni temu urządzono w Białymstoku w Salonie ZPAP Wystawę Tkanin Przemysłowych Izabeli Marcjan. Jeszcze dziś warto omówić tę ekspozycję, gdyż wiąże się z nią szereg aktualnych kwestii. Na tej, pierwszej tego typu wystawie zorganizowanej w Białymstoku przez Zarząd Okręgu ZPAP i Białostockie Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Fasty”, pokazała autorka kilkadziesiąt zrealizowanych projektów tkanin ze 113 wykonanych przez siebie w okresie zatrudnienia w Zakładzie tj. w latach 1961-1964.

Wystawa obrazowała dorobek artystki w tej trudnej zresztą dziedzinie pracy plastycznej. Można było zobaczyć tu tkaniny odzieżowe różnych typów, te same, które niejednokrotnie możemy spotkać w sklepach, czy wręcz na ludziach w postaci już wykonanych ubiorów. Przyznam, że ja osobiście po raz pierwszy spojrzałem na te tkaniny, jako na wynik pracy plastyka. Niezwykle częste obcowanie z tkaniną użytkową spowodowało, że traktujemy ją jako coś co jest i musi być, nie zastanawiając się nad tym, że ktoś te tkaniny projektuje, że ktoś myśli o tym, żeby nadać im jak najpiękniejszą, jak najbardziej funkcjonalną postać. Ten plastyk — projektant jest osobą anonimową. Nigdy nie wiemy, kto projektował tkaniny kupowane przez nas.

Dobrze się więc stało, że społeczeństwo białostockie mogło zobaczyć już nieanonimowy dorobek plastyka w tej pracy. Izabela Marcjan jest znaną białostoczanką, gdyż niedawno wystawiła swoje prace malarckie we wspomnianym już Salonie ZPAP, w roku ubiegłym zdobyła trzecią nagrodę w konkursie na obraz o tematyce strajkowej (pierwszej w ogóle nie przyznano), oraz dostała drugą nagrodę Wydziału Kultury PWRN w Białymstoku za całokształt pracy plastycznej. Ponadto brała udział w wystawach okręgowych w Białymstoku, Warszawie, a obecnie eksponuje swoje prace razem z J. Lengiewiczem i Dorotą i Jerzym Łabnowskimi na Zamku w Lublinie. Tkaniny pokazane na wystawie tkanin przemysłowych w Białymstoku spotkały się z dużym zainteresowaniem odbiorców wyrażanym w licznych zamówieniach handlowych napływających do „Fasty”. Z przedstawicielami „Fasty” i z samą projektantką rozmawiałem na wernisażu o pracy projektanta, o jej blaskach i cieniach.

Oto kilka uwag wynikających z tej rozmowy.

Plastyk projektant jest w swej pracy ograniczony dość surowymi rygorami. Są to:

1. Możliwości techniczne i technologiczne zakładu produkcyjnego. Plastyk musi znać te możliwości i wykonywane projekty do nich dostosowywać.

2. Aktualnie istniejąca moda. Plastyk musi czuć nad prądami w modzie i musi być gotów w każdej chwili dać potrzebny wzór, ha, winien nawet w pewnym stopniu wyprzedzić modę, aby własnie proponowany przez niego wzór wpływał na kształtowanie się mody.

3. Przeznaczenie tkaniny (są to wyłącznie tkaniny odzieżowe). Ta sprawa nie wymaga szerszego omówienia.

4. Względy estetyczne. To jest właśnie zasadnicze zadanie plastyka projektanta. Tkanina musi być ładna. Musi się podobać. Musi się podobać wieletylicznym rzeszom odbiorców. Należy utrafić w te gusty, nie rezygnując przy tym z ambicji zrobienia projektu naprawdę ciekawego i plastycznie wartościowego.

Dodajmy jeszcze anonimowość plastyka, która nie stwarza możliwości zaspokojenia ambicji twórczych spycha jego rolę na pozycję rzemieślnika. Toteż praca na stanowisku projektanta jest mało atrakcyjna. Dowodem najlepszym, że Izabela Marcjan jest jedyną projektantką zatrudnioną w przemyśle na terenie województwa białostockiego. Jak powiedział mi dyrektor zakładu, już wkrótce sytuacja się zmieni gdyż „Fasty” mają zatrudnić ok. 20 plastyków projektantów. Wiąże się to z uruchomieniem nowego działu produkcji. Będą to filmodruki i druki, które jeszcze w większym stopniu wymagają ciągłego dopływu nowych wzorów, gdyż w zasadzie opierać się będzie produkcje na krótkich seriach.

W rozmowie na wernisażu poruszyliśmy też inny bardzo ważny problem: produkcja Białostockich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Fasty” nie ma na rynku miejscowym. Dlaczego „Fasty” nie zaopatrują najbliższego sobie rynku?

Myślę, że dobrze będzie, jeśli na to pytanie odpowie kompetentny pracownik białostockiego handlu. Dlaczego to kupujemy jakieś niemodne od dawna tkaniny z innych zakładów, a nie staramy się zaopatrzyć w poszukiwane wszędzie, wyroby „fastowskie”? Może jednak handel pomyśli o tym, by zatrudnić plastyka, który by reprezentował lepiej gusty naszego odbiorcy na giełdach handlowych. „Fasty” w ramach akcji, którą mogą nazwać tylko „filantropijną”, dbania o białostockiego klienta utworzą w trzecim kwartale br. własny sklep branżowy. Dlaczego „filantropijna” — powiem krótko: „Fasty” nie muszą szukać klienta, bo swoją całoroczną produkcję sprzedają na pniu.

WIERSZE POETÓW BIAŁOSTOCKICH

TADEUSZ SOKÓŁ

Mój dom

Młodości mojej ogrody, gdzie
plaskie kamienie
rzucane na rzekę niewypowiedzianą
o brokat wody klaszczą.
Ręce mam pełne nadziei,
kleszenie pełne gwiazd —
gwiazdy są nieodkryte:
niewystrzelone rakiety,
w których mieszkam ja,
moja żona,
niepomysłany syn
i lalka —
poezja.

Na Mostowej splywało życie
Od Freta
po Rybaków,
Od Rybaków
po wiklinowe Bielany:
tam wódka gniewem,
a nóż krwią —
ogrody mojej młodości.

W Rycerskiej co rano
nędza wieszala dziurawę

[prześcieradła.

sąsiadka sąsiadce wydierała krzyk
o chleb,
o litr powietrza,
o wody kubek —
o życia lyk.

Młodości mojej
dojrzewające jabłka —
niedola sadu,
w który wszedł złodziej,
zrozumienie odlotu płaków
do nieodkrytych gwiazd
rakietami,
w których mieszkam ja,
moja żona,
syn niespełniony
i wyrosła lalka.

ALEKSY KAZBERUK

Tworzenie

Ojciec zbudował dom
stół —
krzesło —
pragnieniem czynienia

Uzewnętrzniłem wiersz
słowem —
pieśnią —
przywołaniem z błędzenia

Zamieszkaliśmy w domu
stółem —
krzesłem —
wierszem i sobą

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

Ratusz białostocki

w lewo i w prawo domy płonowe
(jak w mieście
a to poziome na środku skweru
przypomina wiejski kościółek
który budowniczy narysował na ziemi
gdy zapomniał o niebie

WIESŁAW KAZANECKI

Poprawianie legendy

Kiedy zobaczyli słońce
i swoje twarze w dziennym świetle
rozblegli się przerażeni
na wszystkie strony świata

Potem stworzyli legendę
o wygnanych z raju
Kobiety zaczęły nosić naszyjniki
z jablek i z węży
mężczyźni udawali archaniołów
i z naprędce improwizowanych
rajów wyganiali siebie nawzajem

TADEUSZ ANTONI
MASŁOWIECKI

Nad jeziorem

Dzisiaj jezioro jest głębsze o niebo
dwa razy rośnie tatarak i trzcina
dzień na połowę woda rozkrolla

Jezioro w kształcie wielkiej pustej
sali
usiadłem w kącie z czterema nogami
z podwójną twarzą czasu i słowa
ludowym jazzem świeższy
zaklamany

ALICJA JĘDRZEJEWSKA

* * *

W złote usta słońca
kładliśmy łzę
— lekarstwo
na gorączkę i rozpacz

I z twarzą obojętną
odchodzimy po cichu
aby nikt nie dostrzegł
że ukradliśmy zwycięstwo

ŚLAD WIEDZIE przez RZESZOWSZCZYNĘ

(Dokończenie ze str. 5)

wiedzieć, sprzyjają przypomnieniu czę-
ści bodaj dzieła pisarki, które dzisiaj
przebrzmiały, nazbyt patetyczne, w
swoim czasie było wielkim, namiętnym
wołaniem o powszechność oświaty.

Wśród imprez tegorocznych „Dni”,
Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie
wystąpiła z koncertem utworów kom-
pozytorów polskich oraz pieśni do słów
Konopnickiej, które wykonała znako-
mита artystka Opery Warszawskiej Ja-
dwiaga Dzikówna. Utwory poetki recy-
tował artysta teatru rzeszowskiego
Zdzisław Sikora.

Ślady więc, raz bardziej trwałe, raz
znowu całkowicie ulotne, wiodą w stronę
Rzeszowszczyzny, która stanowiła
niewielki lecz dość znamienity etap w
życiu pisarki. Tym więzom niewątpli-
wie zawdzięczają swą nazwę niektóre
szkoły, jak Szkoła im. Konopnickiej w
Domatkowie, obok pięknej szkoły-pom-
nika Tysiąclecia w Zarnowcu.

Aktyw kulturalno-oświatowy przy

(Dokończenie ze str. 1)

nimi była, kazała im zachowywać się
cichutko. Najpierw trochę spały, ale
gdy się obudzili, trudno im było wy-
trzymać i zaczęli płakać. Wtedy ich
opiekunka przegnała je ze schronu.
Chcieli wrócić do rodziców, ale w ka-
mienicy, gdzie mieszkali, nie zastały
żywej duszy. Nie było ani mamusi, ani
tatusia, wszystko było poprzewracane
do góry nogami. Dzieci, głodne i prze-
straszane, nie wiedzieli co z sobą zro-
bić, gdzie się podziać.

Nie zastanawiając się długo powie-
działam im, że zabiorę je ze sobą.
Dwoje najmłodszych wzięłam na ręce,
pozostałe uchwyciły się mojego pász-
cza. Skierowałam się w stronę wozu.

W tym momencie zagroził mi drogę
wysoki, szczupły oficer SS. Z ironicz-
nym uśmiechem zapytał, czy to wszyst-
ko są moje dzieci. Zawałam się na
chwilę, potem potwierdziłam. Eleganc-
kim gestem wskazał mi wąską uliczkę
z prawej strony i powiedział, że wobec
tego muszę się tędy „pofatygować”.
Jakoś nie zorientowałam się i posusz-
nie poszłam w tamtą stronę.

Przedemną rozciągał się rozległy
plac pełen ludzi. Jedni stali, inni sie-
dzeli. Niektórzy, widocznie wyrwani
wprost ze snu, nie zdążyli się nawet
ubrać. Zauważyłam tam wiele kobiet,
które znalazłam jako pracownice DAW i
Wäscherei. One także mnie poznały i
wołały o pomoc. Wśród tego tłumu
ludzkiego uwijali się SS-owcy, wrzesz-
cząc i nie szczędząc nahańki. Znowu
zjawił się ów oficer SS, który wskazał
mi tam drogę. Śmiejąc się głośno spy-
tał: „Na, was überlegen sie sich noch?
Es scheint ihnen hier nicht zu gefal-
len? Sie haben keine grosse Lust auf
den Umschlagplatz zu gehen?” — W
głosie jego zabrzmiała wyraźna groź-
ba.

Nagle przed placem zajechał nieomal
w galopie „Kaczynos”. Osadził konia
na miejscu i wywijając batogiem za-
czął krzyczeć, że przecież nie będzie do
z... śmierci wyczekiwał na mnie
przed Judenratem, że tam już stoją
worki z prowiantem i ktoś z Deutsche
Ausrüstungswerke (zakłady zbroje-
niowe) może je ukraść, a ja tymczasem
zamiast pilnować i robić to, co mi ka-
zał Obersturmführer Wilhaus, gdzieś
włóczę się po getcie.

Zdetonowany oficer przyglądał się

pomocy Wydziału Kultury Prezydium
Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rze-
szowie, przykładał słuszną wagę do tego,
by muzeum w Zarnowcu, szkoły imie-
nia poetki pełniły trwałą funkcję w sz-
czeniu oświaty, kultury.

Współ z Ministerstwem Kultury i
Sztuki przygotowuje się naradę poświę-
coną omówieniu długofalowego planu
inwestycyjnego dla Zarnowca. Wielki
park — uroczę miejsce wytechnienia dla
licznych wycieczek — wymaga jeszcze
wielu prac porządkowych. W planach
Towarzystwa figuruje wykup od rodzi-
ni poetki parceli otaczającej Zarnowiec,
by obiekt, który ongiś był darem narodu,
dziś jako że wszechmiar atrakcyjna
placówka kulturalna, służyć mógł bez
przeszkód szerokim rzeszom społeczeń-
stwa.

Cecylia Błońska

WOJNA PRZECIWKO DZIECIOM

całej tej scenie ze zdziwieniem. Spytaj
mnie, skąd się człowiek ten wziął ta-
taj i co mówi o Obersturmführerze
Wilhausie.

Zdołałam już opanować się. Odpo-
wiedziałam więc spokojnie, że przyje-
chałam tutaj z rozkazu Lagerführera
do Judenratu po prowianty, na które
czeka kuchnia obozowa. Oficer uśmie-
chał się i dopiero teraz zauważył opaskę na
moim ramieniu. Zaczął krzyczeć na
mnie, że ukryłam przed nim, że jestem
pracownicą obozu, że chciałam go
okłamać i że w ogóle skąd do mnie to
„bękarty”. Wyrwał mi z rąk dzieci i
rzucił przerażone i na wpół żywe w
tłum. Kazał mi natychmiast wynosić
się. Mam załatwić w Judenracie co mi
kazano i zniknąć z getta.

Pojechałam do Judenratu. Zastalłam
tam straszliwy rozgardiasz. Wszyscy
potracili głowy. Wielu urzędników
SS-owcy zabrali. Każdy bał się tam o
swoją skórę. Udało mi się mimo to
otrzymać nawet sporo prowiantów dla
kuchni. Mogłam już teraz nie obawiać
się na bramie. Miałam alibi.

„Kaczynos” już mi nie pozwolił od-
dalać się, ani też nigdzie nie chciał je-
chać, naglił do powrotu. Gderał bez-
ustannie, że przez babkę głupotę i
sentymenty bylibyśmy oboje wpadli.
Był jakby przestraszony.

Kiedy jednak znaleźliśmy się już po-
za murem getta, popędził konie i we-
szło gwizdząc, zamiast do kuchni, skie-
rował wóz w stronę Kleparowa, wcale
nie zwracając uwagi na moje protesty.
Tłumaczyłam mu, że muszę natych-
miast zawiadomić Axera o tym, że za-
brano kobiety z DAW i Wäscherei —
nie uczyniło to na nim żadnego wra-
żenia. Ograniczył się do krótkiego:
„Zdaży pani jeszcze”. Skręcił w stronę
Kurtymowych Górki i tam w niewiel-
kim jarze zatrzymał się. Rozjeżdżał
się kilka razy bacznie naokoło, a po-
tem zeskokczył z wozu, podniósł prostoką-
tą skrzynię, która służyła mu do
siedzenia i... wyciągnął stamtąd dwi-
przestraszone dziewczynki.

Wszystkie moje pytania puszczał mi-
mo uszu i w żaden sposób nie chciał
zdradzić, jak tego dokonał. Zastana-
wiałam się, co zrobić dalej z dziećmi,
żeby je naprawdę uratować przed za-
glądą. „Kaczynos” uspokoił mnie: Czy
na Kleparowie mało porządnymi i do-
brych ludzi, którzy sierotki chętnie
wezmą za swoje? Tymczasem postano-
wił zawieźć je do siebie.

Pozostawiliśmy dziewczynki pod
opieką pani „Kaczynosowej” i poje-
chaliśmy do obozu.

* No i nad czym się pani zastanawia.
Zdaje się, że się tu pani nie podoba? I nie
ma pani ochoty pójść na plac przeladunko-
wy?

Stanisława Gogolowska

Foto M. Kopeć

Dziorek — Muzeum w Zarnowcu
Bitarka Marii Konopnickiej



TECHNIKA PRZEKAZU — SOJUSZNIK KULTURY SOCJALISTYCZNEJ

(Dokończenie ze str. 2)

te) kultury jest forma rozrywkowa. Czy należy jednak dopatrywać się w tym groźby? Nie sądzę. Kultura masowa to „kultura wolnego czasu”, nie można więc wymagać od niej, by nie była kulturą rozrywkową. Rozrywka nie jest wynalazkiem XX wieku. Ma ona oparcie — jak słusznie zauważył S. Zółciewicz — w „ludowej jarmarcznej tradycji, lubiącej mieszać *sacrum* i *profanum*, patos z igraszką”.

Główna słabość krytyki masowej kultury polega na braku pozytywnego programu. Nie jest bowiem programem narzekanie, czy też ograniczenie się do wyszukiwania wad, wad zresztą często urojonych. Więcej — w krytyce masowej kultury zawarte są elementy anachroniczności wywodzące się z poglądów głoszonych przez XIX-wiecznych myślicieli utopistów. Wprawdzie w drugiej połowie XX w. nikt nie odważa się atakować naszego postępu technicznego, procesu urbanizacji i nawoływać do „sielskiego” życia, nikt nie opowiada się wprost za modelem kultury dostępnej tylko dla wybrańców

i przez jeszcze mniejszą garstkę „kapłanów” nauki i kultury zarządzanej, jednak jakże często współczesna krytyka z tych właśnie poglądów wywodzi swoje racje.

Czyniąc innym, jeśli nie anachronizmem jest np. widzenie antidotum na wszystkie dolegliwości występujące na obszarze współczesnej kultury — w postulatce preferencji ludowej kultury i kurczowe trzymanie się starych form działalności kulturalnej?

W mieście i na wsi miliony ludzi przechodzi swą edukację kulturalną przy pomocy prasy, książki, radia, filmu, telewizji, tysiące ludności wiejskiej odwiedza teatry, filharmonie, muzea, ogląda najwybitniejsze zespoły artystyczne krajowe i zagraniczne, a tymczasem przedmiotem głównego zainteresowania naszych władz i działaczy jest amatorski zespół artystyczny, taniec ludowy, wycinanka kurpiowska, sokółski dywan.

Chciałbym być dobrze rozumiany. Nie nawołuję do tego, aby nie troszczyć się o rozwój kultury ludowej, nie nawołuję też do likwidacji, czy ograniczenia amatorskiego ruchu artystycznego. Ale chodzi mi o ujęcie miarodajną oceną poszczególnych wartości dzisiejszego ruchu kulturalnego, o wychwycenie jego czynników wiodących. Czynnikiem tym nie jest już amatorsko wykonywana dekoracja teatralna, czy inscenizowana śpiewka z przytupem, ale to, co wynika z ducha czasu: stojąca wysoko i obejmująca szeroki zasięg technika przekazu umożliwiająca docieranie dóbr kulturalnych do jak najliczniejszych mas odbiorców.

Witold Mikulski

POCHWAŁA AMATORÓW Z ŁAŃCUTA

ILEŻ to razy zastanawiano się nad tzw. „manią teatru”. Kiedy rozmawiałem ze znanym reżyserem i aktorem, Adamem Hanuszkiewiczem, i on również odwołał się do owej „zniewalającej” sily. W roku 1944, zupełnie przypadkowo trafił do powstającego w Rzeszowie teatru, nigdy nie myślał o karierze sceniczej, jego marzeniem była architektura. Ale skoro raz stanął na scenie, nie miał już sily, aby odejść.

Mamy więc do czynienia ze szczególnie fascynującym oddziaływaniem teatru. Choć nie wszyscy mu podlegają, to przynajmniej pewien procent jest na nie szczególnie wyczulony. Nie popełnię chyba błędu, gdy stwierdzę, że do grupy tej należą ludzie z łańcuckiej „Lutni”. Z teatrem zetknęli się w rozmaitych okolicznościach. Antoni Sobolewski pracował przez pewien czas jako technik w jednym z lwowskich teatrów. Michalina Bartoszyńska interesuje się sztuką teatralną od młodości. Raz polknięty „bakcyl” teatru nie daje im spokoju.

Założono „Lutnię” w roku 1944, w parę tygodni po wywołaniu. Warunki były wówczas sprzyjające, w Łańcucie znalazło chwilowe schronienie kilku aktorów scen lwowskich. Z załatem przystąpili do pracy z ama-

torami. Obok zespołu teatralnego powstał również chor. Teatrzyk ochotniczy wystartował z „Zemłą”. Jeden ze spektakli, wystawiany na tle pięknej kolumnady w pałacowym parku, zaszczylił swym udziałem znakomity aktor, Ludwik Solski.

Nie wiem, czy panią Michalinę zafascynowała osobowość mistrza i legenda, jaka mu towarzyszyła do ostatnich chwil życia. Upłynęło od tamtych dni prawie 20 lat. Pani Bartoszyńska liczy sobie dzisiaj lat 80. Z nie mniejszą energią, z oddaniem, podobnie jak wówczas, zajmuje się sprawami „Lutni”. Z przygotowywanymi przez siebie spektaklami wyjeżdża do sąsiednich miast i wsi. Na próby odstępowała swój zaciszny domek (zespół nie ma stałego locum). W takich warunkach przygotowała ostatnią premierę, „Ballady i romanse” Aleksandra Maliszewskiego. Nie zawahała się ani chwili przed daleką podróżą do Przemyśla. Swą obecnością chciała dodać otuchy zespołowi, który wystąpić miał przed konkursem komisją. A tremę mieli spora: termin eliminacji wojewódzkich został przyspieszony, spektakl nie otrzymał jeszcze ostatecznego szlif.

I oto przygotowany przez sędziwą reżyserkę spektakl znalazł się w czo-

(Dokończenie na str. 10)

SPÓR o Jarosław

Z ZAINTERESOWANIEM przeczytałem artykuł A. Gabrusiewicza „Stare i nowe Jarosławia” („Kamena”, nr 2/64) * szkicujący portret tego pięknego, kresowego miasta. Jednak uważa lektura artykułu nasunęła mi sporo wątpliwości.

Nie wiem, czy sprawił to krótki pobyt w mieście, czy nie ogarniający całości informatorzy, czy też zafascynowanie autora niezwykle barwną przeszłością tego nadszańskiego grodu — w każdym razie zwłaszcza druga partia artykułu, w której mowa jest zgodnie z zapowiedzią o nowym Jarosławiu, pozbawiona jest istotnych dla współczesności elementów. I dlatego wyraźnie krzywdzi Jarosław!

Czy naprawdę Jarosław jest tak cichą i zabita deskami miasteczką, jak to wygląda w artykule A. Gabrusiewicza, czy też zaliczyć go możemy do bardziej dynamicznych ośrodków miejskich Rzeszowszczyzny? Dla mnie odpowiedź jest jasna. Dzisiejszy Jarosław stanowi jedno z ciekawszych, powoli lecz stale rozwijających się miast południowo-wschodniej Polski.

Nawet przygodnemu turyście rzuci się w oczy „młodość” ponad 800-letniego Jarosławia. Istotnym dla Jarosławia elementem jest obecność w jego murach przeszło 6 tysięcy młodzieży szkół średnich. W różnych porach dnia szerokie ulice Jarosławia dosłownie „wypełniają” dziewczęta i chłopcy z kolorowymi tarczami na rękawach. W książce telefonicznej naliczyłem 13 szkół różnych typów (nie biorąc pod uwagę podstawowych), w tym szkoły tak specjalistyczne, jak technikum geodezyjne, drogowe czy państwowe ognisko baletowe, szkoła muzyczna, liceum sztuk plastycznych.

Nie muszę dowodzić, że obecność tak dużej ilości młodzieży, a w związku z tym również personelu pedagogicznego, wywiera spory wpływ na życie miasta. Niemal w każdej szkole istnieje i działa z mniejszym czy większym powodzeniem jakiś amatorski zespół artystyczny. Technikum drogowe np. szczyci się najlepszym obecnie w mieście i powiecie zespołem teatralnym; na powiatowych eliminacjach wielkiego festiwalu amatorskich zespołów, zorganizowanego z okazji Tysiąclecia zajął on pierwsze miejsce i zakwalifikował się do eliminacji wojewódzkich.

Gabrusiewicz pokpiwa sobie z pompatycznego, przynajmniej, napisu pod dziwnym malowidłem na szczyto-

wej ścianie jednego z budynków: „Muzyka stała się własnością milionów ludzi prostych”. „To chyba tylko dobre intencje — pisze — bo o żadnym większym zespole muzycznym w Jarosławiu nie słyszałem”. To prawda, nie ma tu zespołu muzycznego typu np. Filharmonii (bo i skąd miałby być?), ale przy szkole muzycznej istnieje kilka mniejszych zespołów, przy fabryce pieczywa cukierniczego „San” i Państwowym Ognisku Baletowym — zespoły pieśni i tańca. Zespoły te znane są w mieście i powiecie z występów na akademiach i innych uroczystościach (zespół Ogniska Baletowego od lat bierze udział w centralnych dożynkach w Warszawie).

Szkoła muzyczna (266 uczniów, 3 społeczne ogniska muzyczne w Radowym, Sieniawie, Pruchniku, starych miastach ziemi jarosławskiej) odgrywa bardzo poważną rolę w umuzykalnianiu społeczeństwa. Także dzięki jej pracy, Jarosław wysunął się pod względem zainteresowań muzycznych na pierwsze miejsce (po Rzeszowie) w województwie. Dyrektor Państwowej Orkiestry Symfonicznej, Józef Maroń, oświadczył mi, że jego zespół z prawdziwą satysfakcją udaje się do tego miasta; można tam pojechać z każdym koncertem, czy to poważnym, czy rozrywkowym i zawsze liczyć na pełną widownię. Rzeszowska POS odwiedza więc Jarosław regularnie, co miesiąc.

Teatr im. Wandy Siemaszkowej wystawia w Jarosławiu (niejednokrotnie dając po dwa, trzy spektakle) większość swoich premier (odpadają tylko inscenizacje, których nie można pokazać ze względu na bardzo małą scenę w jarosławskim PDK). W drugiej połowie ub. r. teatr rzeszowski bawił w nadszańskim grodzie 6 razy dając 10 przedstawień. Nie ma miasteczka, by nie gościł tam jakiś przyjezdny czy własny (WAIA z Rzeszowa) zespół estradowy.

Gabrusiewicz nie dostrzegł działalności Stowarzyszenia Miłośników Jarosławia; dzisiaj stowarzyszenie to uważane jest za jedno z najlepszych w Rzeszowskiem. Jego członkowie współdziałają przy renowacji licznych zabytków architektury, prowadzą akcję odczytową, wydają „Rocznik Jarosławski”, przynoszący studia nad przeszłością i dniem dzisiejszym miasta. Wiele ośrodków w kraju tej wielkości, co Jarosław, mogłoby mu pozazdrościć tak sprawnie działającego społecznego stowarzyszenia, tym bardziej, że miasto to nie ma wielkiego przemysłu i bogatych mecenasów.

Wspomniałem już o pożytecznej działalności szkoły muzycznej. Byłbym niesprawiedliwy, gdybym pominał rolę, jaką spełnia w Jarosławiu Liceum Sztuk Plastycznych. Podobnie jak szkoła muzyczna w swym zakresie, liceum toruje drogę zainteresowaniom dla spraw plastyki. Wykładowcy tej szkoły, w większości absolwenci krakowskiej ASP,

utworzyli grupę plastyczną „Jarosław”, zrzeszającą 8 twórców (malarzy, rzeźbiarzy, grafików).

Powstanie i działalność tej grupy czynią z Jarosławia drugi co do wielkości (po Rzeszowie) ośrodek plastyczny w województwie. Z inicjatywy liceum przystąpiono do remontu zabytkowej bożnicy i jeżeli terminy zostaną dotrzymane, w 1965 roku Jarosław otrzyma salę wystawową z prawdziwego zdarzenia. Będzie wówczas można prowadzić systematyczną akcję wystawienniczą.

Zresztą i obecnie wystawy nie omijają miasta: wystawia tu „grupa Jarosław”, eksponowane są gościnne wystawy, w ubiegłym roku w salach Muzeum jarosławianie mogli zobaczyć m. in. bardzo ciekawą ekspozycję portretu polskiego ze zbiorów galerii na Wawelu. Również w ubiegłym roku dzięki współpracy Liceum

Sztuk Plastycznych i Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie — ta ostatnia zorganizowała latem w pięknie położonym mieście studium plenerowe. Plener się udał, przeprowadzono dodatkowe pertraktacje i oto krakowska ASP obrala sobie Jarosław na stałe studium plenerowe. Korzyści stąd dla upowszechnienia kultury plastycznej w grodzie Jarosławia niemałe.

W jednym zgodzę się z Gabrusiewiczem: rzeczywiście PKP traktują Jarosław jak Kozia Wółkę, skoro ekspres „Karpaty” (jedynie bezpośrednie połączenie z Warszawą) nie zatrzymuje się na jarosławskiej stacji. Ale chyba będzie można temu zaradzić w nowym rozkładzie jazdy? Pytanie to — w imieniu jarosławian — kieruję do Ministerstwa Komunikacji.

Zbigniew Wawszczak



Z wystawy grupy Jarosław
Irena Oryl — Dziewczynka (olej)

* Artykuł ten z powodów technicznych ukazuje się z dużym opóźnieniem, za co przepraszamy autora. (Red.)

Z tajemnic języka

MIECZYSLAW BUCZYŃSKI

POWSZECHNE zainteresowanie kwestiami językowymi istnieje od dawna, toteż ukazało się już wiele publikacji, których celem było wniesienie naukowych wyników do tych dziedzin. Z pozycji naukowych wymienimy tu „Poradnik grammatyczny” H. Gaertnera i A. Passendorfera, „Rozmowy o języku” W. Doroszewskiego, zbiór artykułów i pogadankę tegoż autora, zatytułowaną „O kulturę słowa” i będący swego rodzaju poradnikiem językowym, wielokrotnie wznawiany „Słownik ortograficzny” (II wydań po r. 1936) oraz czasopisma „Język polski” i „Poradnik językowy”. Należy tu również wymienić pozycje popularizujące wiedzę o języku, opracowane bądź przez naukowców, jak np. „Rzecz o polszczyźnie” S. Westphala (Londyn 1956), bądź też przez amatorów, jak np. ciekawa książeczka L. Przemskiego „Na tropie słów i rzeczy” (Warszawa 1962). Z tego cyklu ukazała się w roku ubiegłym książka Witolda Pawła Cienkowskiego „Z tajemnic języka”, wydana przez „Naszą Księgarnię” i nią właśnie mamy zamiar się zająć.

Autor zajmuje się językoznawstwem zawodowo, a działalność popularizatorską, szczególnie dla dzieci i młodzieży, uprawia już od wielu lat w pismach „Pismo”, „Wiedza i życie”, „Poradnik językowy”, por. s. 6. Książka „Z tajemnic języka” jest w zasadzie przeznaczona dla młodzieży licealnej, mając za zadanie zapoznać ją bliżej z wieloma dziedzinami językoznawstwa: „stanowi niejako przekroj najciekawszych zagadnień językoznawstwa”, s. 6. Książka dzieli się na siedem części: „Igraszki językoznawcze” (część wstępna), „Od legend do nauki” (językoznawstwo ogólne), „Mądrość narodów i mądre przysłowia” (paremiografia), „Za kulisami nazwisk” (onomastyka), „Wyrazy-pomniki i żywa mitologia” (leksykonografia), „Grammatyczna nuda” (gramatyka), „Od Bałtyku do Tatr” (dialektologia polska).

Niewątpliwie najlepiej opracowana jest część ostatnia, poświęcona dialektologii polskiej i oparta wyłącznie na materiale polskim. Autor obszernie omawia typy gwar polskich, przytaczając dużą ilość tekstów gwarowych, niekiedy bardzo dowcipnych (np. gąki góralskie), nie zapomina też o stylizacji gwarowej w literaturze pięknej (K. Przerwa-Tetmajer, W. Reymont). Ciekawym zabiegiem metodycznym jest przytoczenie jednego tekstu gwarowego, o identycznej treści, w trzech różnych gwarach: małopolskiej, wielkopolskiej i mazowieckiej; uwiidcznia to doskonale zasadnicze różnice między tymi gwarami. Szkoda tylko, że autor słyca zagadnienie stwierdzając wielokrotnie, iż główna różnica między gwarami polega na odmiennym słownictwie, a nie na cechach wymowy, rozniących to słownictwo. Mogł również Cienkowski odesłać czytelnika do części IV, poświęconej nazwiskom, w któ-

rej mówi o zróżnicowaniu gwarowym nazwisk. Uświadomiłoby to czytelnikowi, że różnice między gwarami polegają nie tylko na różnej gramatyce i różnym słownictwie, ale i na odmiennym nazewnictwie. W sumie jednak dział ten jest omówiony okładnie i wyczerpująco, w wykazie lektur podaje autor do niego 22 pozycje.

Równie ciekawa jest część poświęcona onomastyce, omawiająca przede wszystkim nazwiska polskie. Autor omawia obszernie pochodzenie nazwisk (od dawnych imion, przezwisk, nazw miejscowości), ich znaczenie, przy czym często objaśnienia są zbyt powierzchowne. Cienkowski wymienia np. nazwiska pochodzące od nazw miesięcy i dni tygodnia, np. Piątek, Słyczeń, nie podaje jednakże, że pierwsi tak nazwani ludzie rzeczywiście urodzili się w piątek czy w styczniu. Ciekawe są rozdziały poświęcone zrozwicznawaniu gwarowemu i społecznemu nazwisk, także problemowi „nazwisk szlacheckich”, zbudowy w tym miejscu jest długi wiersz staropolski o nazwiskach szlacheckich, z pewnością nie wnoszący tu nic nowego. O ile atrakcyjnie omówione są nazwiska polskie, o tyle dużo chaosu wprowadzają nazwiska obce, cytowane z niżej wymienionych, bardzo niekiedy odległych języków (np. burmański) i mające już charakter ciekawostek. Tym bardziej, że objaśnienia autora są skąpe i niewiele mówiące (por. tabelkę na s. 133-138), a niekiedy Cienkowski nie widzi zasadniczej różnicy między nimi, cytując te nazwiska obok siebie. Np. w wypadku nazwisk pochodzących od imienia Piotr, wylicza obok siebie 60 nazwisk polskich, rosyjskich, ukraińskich, niemieckich, skandyńskich, mówiąc przez cały czas o „naszych” nazwiskach. Jest to swoisty brak konsekwencji w doborze materiału, rzutujący na metodę Cienkowskiego. Metoda ta jest właściwie zastosowana w części następnej, poświęconej wyrazom pospolitym pochodzącym od nazw własnych (np. atlas, nojokot, cesarz, chuligan, echo, król, mecenas, syrena itp), przechodzenie bowiem nazw własnych w pospolite jest charakterystyczne dla wielu bardzo różniących się między sobą języków. Autor powinien wyróżniać słowa właściwe tylko jednemu językowi od praw charakterystycznych dla wielu języków.

Dobrze opracowany jest dział poświęcony przysłowiom. Dziedzina ta, związana z etnografią, stanowi jednak peryferie językoznawstwa i mogłaby być omówiona bardziej zwięźle, tym bardziej, że posiada opracowania J. Krzyżanowskiego, J. S. Bystronia i innych paremiografów czy etnografów.

Trzy pozostałe części książki są już opracowane słabiej. Z wielu zagadnień grammatycznych (część „Grammatyczna nuda”) Cienkowski wybrał dwa peryferyjne problemy: kwestię liczby i rodzaju. Liczne przykłady, przytaczane z różnych języków, nadają im charakter zwykłych ciekawostek językowych, a przy materiale polskim autor podaje bardzo powierzchowną i niekiedy błędną analizę. Tak jest np. w

stwierdzeniu, że rodzaj rzeczowników w języku polskim jest praktycznie trudny do rozpoznania i np. rzeczowniki zakończone na -arz (szklarz, ślusarz, twardz, potwardz) oraz na -a (żnawca, twórca, matka) mogą być rodzaju męskiego lub żeńskiego; autor nie dostrzega jednak, że właśnie praktycznie rozróżnienie to jest oczywiste (męskie są rzeczowniki oznaczające wykonawcę czynności lub określające zawód).

Z zagadnień językoznawstwa ogólnego (część „Od legend do nauki”) Cienkowski zajmuje się kwestią pochodzenia mowy. Zagadnienie to jest ciekawe, ale trudne i do dziś nie rozstrzygnięte. Cienkowski podał szereg różnych koncepcji, usiłując rozwiązać to zagadnienie, ale przy tym nie zawsze wydziela legendy od hipotez naukowych, stawiając je na jednej płaszczyźnie. Nie widąc tu wyraźnego stanowiska autora wobec omawianego przez niego materiału.

Część zatytułowana „Igraszki językoznawców” daje odpowiedź na pytanie, czym właściwie zajmuje się językoznawca i jakie praktyczne znaczenie ma wiedza o języku. Wyjaśnienie jest obszernie i potrzebne, Cienkowski pokazuje jednak tylko zakres pracy językoznawcy, a nie wspomina nic o jego warsztacie naukowym i metodzie pracy.

Oceniając ogólnie książkę Cienkowskiego należy podkreślić, że jest to w zasadzie publikacja pożyteczna, ale też z pewnych względów zasługuje na krytykę. Autor wykazał się dobrą znajomością literatury naukowej z zakresu językoznawstwa i innych dziedzin wiedzy (archeologia, etnografia). Zadał on sobie dużo trudu, co należy podkreślić, aby zbierać tak pokazną ilość faktów z różnych języków świata, dobrać i ująć materiał może jednak w pewnych wypadkach budzić wiele zastrzeżeń.

Cienkowski zestawia obok siebie fakty z różnych języków, często bardzo od siebie odległych, nie pamiętając o tym, że są to przecież różne systemy i że takie zestawienie nie zawsze ma uzasadnienie. Odnosi się też wrażenie, że autor ponosi wielokrotnie pasją zbieracką: podaje on cały szereg przykładów, przy czym uogólnienie ma już charakter powierzchowny, autor nie zawsze nawet ocenia różnice między legendą a tezą naukową. Taka metoda podawania materiału jest bardzo niebezpieczna, jeżeli weźmie się pod uwagę,

że większość tych faktów jest dla czytelnika nowością. Można bowiem wywnosić z nich przekonanie, że język to nie system elementów wzajemnie z sobą powiązanych, ale zbiór faktów, które można zbierać z sobą lub z pewnymi faktami z innych języków w różny sposób. Autor podaje za mało objaśnień, przy czym brakuje zupełnie odwołań do książek poświęconych specjalnie danym zagadnieniom. Naszym zdaniem, najlepszą metodą byłoby omawianie materiału z mniejszą ilością przykładów, ale z bardziej dokładnymi objaśnieniami, po zainteresowaniu czytelnika zachęcićby się go w ten sposób do sięgnięcia po lekturę dodatkową, którą autor powinien tu wskazać. Cienkowski nie wziął tu pod uwagę funkcji wychowawczej swojej książki, przeznaczanej przecież przede wszystkim dla młodzieży.

Pewne życzenia można by wysuwać, jeśli idzie o dobór zagadnień. Cienkowski, z konieczności zmuszony do dokonania selekcji, opracował obszernie gwary, nazwiska i etymologię, poświęcił trochę uwagi gramatyce, przysłowiom i językoznawstwu ogólnemu. Pomijamy tu już brak równowagi między poszczególnymi częściami, w tego rodzaju książce oczekivalibyśmy jednak zagadnień bardziej związanych z dzisiejszym życiem, jak np. kwestii etnografii, ostatnio żywo dyskutowanej. Można by było uwzględnić przez pominięcie innych dziedzin, naszym zdaniem, mniej interesujących, lub też przez ich ilościowe ograniczenie z jednoczesnym odwołaniem do literatury uzupełniającej. Literatura ta jest na pewno obszerna, gdyż rozpiętość tematyczna książki jest bardzo duża.

Do młodzieży dostosowane są tytuły rozdziałów, ilustracje Bohdana Bocianowskiego i styl: gawędziarski, pełen humoru i pozbawiony bagażu terminologii naukowej, ale też zbyt często operujący wyrażeniami potocznymi.

Reasumując możemy stwierdzić, że książka Cienkowskiego jest opracowana dość dobrze pod względem naukowym i na ogół atrakcyjnie, ma jednak zasadnicze braki metodyczne (m. in. źle opracowany materiał przykładowy z języków obcych). Naszym zdaniem, jest to przykład popularyzacji źle pojętej, której należy przeciwstawić takie publikacje, jak „Rzecz o polszczyźnie” S. Westphala czy choćby „Na tropie słów i rzeczy” L. Przemskiego.

ZIELONE ŚWIATŁO DLA MUZEÓW

NIE przebrzmiały jeszcze echa zjazdu muzealnego 4 województw, z udziałem przedstawicieli muzealnictwa z całej Polski, który odbył się pod egidą Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków, Ministerstwa Kultury i Sztuki, w siedzibie Muzeum Lubelskiego na Zamku w dniach 20-22 kwietnia br., a już rozpoczęła się realizacja haseł i postulatów uchwalonych przez uczestników zjazdu. Zainicjowany przez dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie prof. dr Stanisława Lorentza, życzliwie poparty przez dyrektora Zarządu Muzeów mgr Mieczysława Ptasnika, apel o ożywienie działalności i pełniejsze wyposażenie placówek regionalnych województwa lubelskiego przyniesie już w najbliższych miesiącach kilka interesujących wystaw, przeznaczonych przede wszystkim dla muzeów, które znalazły się w programie objazdu w dn. 21.IV.64. Są to muzea w Krasnymstawie i Zamościu. Dla obu tych placówek przyrzekły eksponaty bądź też specjalne wystawy oba nasze muzea narodowe w Warszawie i Krakowie, Muzeum Historyczne m. Warszawy oraz w ramach współpracy 4 województw Muzeum Świętokrzyskie w Kielcach. Fakty te przyczynią się niewątpliwie do podniesienia rangi naszych muzeów regionalnych i pełniejszego spopularyzowania ich działalności. Ten ważny problem zwrócenia większej uwagi na właściwy rozwój muzealnictwa regionalnego jest obecnie aktualny dla całego polskiego muzealnictwa, a realizacja jego uzależniona jest nie tylko od pomocy czolowych muzeów w Polsce oraz muzeów okręgowych sprawujących nadzór merytoryczny nad placówkami regionalnymi. W aktywizacji muzeów regionalnych powinny pomóc rady wojewódzkie i terenowe przez pełniejsze uwzględnienie potrzeb finansowych placówek w kierunku utworzenia w muzeach właściwej bazy eksponatowej oraz podstawowego zaplecza technicznego. Nowoczesne muzeum, w myśl ustawy o ochronie zabytków i o muzeach, do obowiązków prowadzenia działalności naukowo-oświatowej musi być należycie przygotowane. Aby realizować program upowszechniania wiedzy o regionie nie wystarczy dzisiaj posiadanie stałej ekspozycji. Każde muzeum powinno również dysponować choćby niewielką przestrzenią na wystawy czasowe, powinno organizować co pewien czas akcję odczytową oraz projekcje filmowe. Sprawy te, tak pomy-

ślnie rozwiązane w ciągu 20-lecia w naszych muzeach okręgowych, stają się specjalnie pilne na odcinku muzealnictwa regionalnego, gdzie ciągle jeszcze pozostaje wiele do zrobienia. Tym to zagadnieniem poświęcona była m. in. konferencja lubelska.

Zanim jednak to nastąpi, z dużym uznaniem należy powitać akcję wielkich muzeów docierających z wystawami czasowymi również do muzeów regionalnych, włączających się coraz pełniej w realizację postulatów wysuniętego przed kilku laty przez Zarząd Muzeów i O. Z. — pełniejszej eksploatacji wystaw organizowanych przez muzea, nawiązania ścisłej współpracy pomiędzy muzeami w dziedzinie wystawienniczej. Województwo lubelskie zadwaja szczególnie wiele Muzeum Narodowemu w Warszawie, którego świetne wystawy można od szeregu lat u nas oglądać.

Objęcie akcją wystaw oświatowych także muzeów regionalnych spotka się zapewne z szerokim zainteresowaniem społeczeństwa. Rola, jaką spełniają te wystawy, jest bardzo duża, jeśli weźmie się pod uwagę, że w praktyce tylko niewielki procent społeczeństwa może oglądać zbiory wielkich muzeów w ich własnych gmachach i to często w warunkach niesprzyjających właściwej percepcji zgromadzonych w tych muzeach arcydzieł. Dlatego też akcja muzeów narodowych w wypożyczeniu mniejszym muzeum cennych zespołów zabytków nabiera specjalnego znaczenia, zwłaszcza że muzea obecnie przy szerokim i stale rosnącym awansie kulturalnym całego społeczeństwa — winny być placówkami jak najbardziej zaangażowanymi społecznie w udostępnianie i upowszechnianie swych zbiorów, a tym samym w pogłębianiu ogólnego poziomu kulturalnego narodu.

Sygnalizując niektóre momenty z narady lubelskiej warto zaznaczyć, że muzealnictwo w naszym województwie znajduje właściwy klimat. Świadczy o tym przyznane przez Miejską Radę Narodową w ostatnich dniach nowe lokale dla Muzeum w Krasnymstawie oraz przygotowywane otwarcie w ramach obchodów 20-lecia PRL muzeów regionalnych w Łukowie i Kazimierzu na Wisłą. Zrozumienie potrzeby zakładania muzeów i docenianie ich roli jako ośrodków naukowo-oświatowych współdziałających w upowszechnianiu wiedzy o regionie pozwala na wysunięcie optymistycznych wniosków na najbliższą przyszłość.

I. I.

Pochwała amatorów z Łańcuta

(Dokończenie ze str. 9)

łowce wojewódzkiego przeglądu. Za całokształt działalności w środowisku przyznano zespołowi jedną z dwóch równorzędnych nagród. Było to najwyższe wyróżnienie: z 16 teatrów ze środowisk miejskich, które brały udział w przeglądzie wojewódzkim wielkiego festiwalu zespołów amatorskich, uzyskały je dwa, w tym właśnie „Lutnia”.

„Ballady i romanse” w reżyserii pani Bartoszyńskiej dobrze reprezentują walory współczesnego teatru amatorskiego. Nie jest to pozycja zrealizowana jedynie dla efektu, na pokaz, poprzedziły ją mozolne próby, praca nad tekstem, poglądami i ideałami Mickiewicza. Ludzie zaangażowani do pracy nad „Balladami” rozszerzyli swą wiedzę o literaturze romantyzmu, zyskali przy pracy nad dykcją, nad pięknem poetyckiego słowa. Przygotowanie własnej, amatorskiej premiery zbliżyło ich do problemów „prawdziwego” teatru, wzrosło ich zainteresowanie zagadnieniami sztuki. Prawdopodobnie część spośród nich będzie starała się pogłębić swe wiadomości, będzie szukać odpowiednich książek. Ich zainteresowań nie wyeliminuje odejście od czynnej pracy w zespole. I w tym sensie „Lutnia” spełnia swą najważniejszą, społeczną funkcję polegającą na budzeniu „głodu” kulturalnego, na zbliżaniu zarówno swych członków, jak i szerszych kręgów widzów, która bierze udział w jej przedstawieniach, do problemów sztuki. „Lutnia” daje możliwości przelania biernego stosunku do kultury, stwarza okazję do wypróbowania własnych sił.

Nie muszę tutaj zapewniać, że kierując „Lutnią” ludzie nie traktują

swjej pracy jako próby doświadczenia „prawdziwego” teatru, zastąpienia go tego rodzaju ciągoty występującej od czasu do czasu tu i ówczas — są im obce.

Byłoby rzeczą niesprawiedliwą, gdybym zajmując się pokrótce sprawami „Lutni” ograniczył się jedynie do wyliczenia nazwisk najaktywniejszych reżyserów-amatorów, pani Bartoszyńskiej, Lewickiej, Fangorowej, Soolewskiego. Przygotowujący się do obchodów 20-lecia swego istnienia zespół funkcjonuje dzięki poparciu wielu ludzi. Dokłada tutaj swą cegiełkę związany mocno z ziemią rodzinną artysta plastyk, Józef Frączek. Przygotowuje on scenografię — nierazko pełni funkcje elektryka, stolarza. Nie szczędzą pomocy zespołowi pracownicy PRN: kierownik referatu kultury, Jan Micał, kierownik wydziału organizacyjnego, mgr Józef Barnat, opiekun „Lutni” z ramienia Związku Zawodowego Pracowników Państwowych, o który to związek opiera się działalność zespołu.

„Lutnia” skupia głównie pracowników umysłowych z wykształceniem humanistycznym. Poważny udział w jej pracach ma również młodzież szkół średnich. Jak w każdym zespole amatorskim, dokonuje się i tutaj wymiana ludzi, nie dotyczy to jednak sporej grupy osób, która od początku związała swe losy z zespołem i jest mu wierna.

W okresie 19 lat „Lutnia” przygotowała blisko 60 premier: znalazły się wśród nich utwory dawnych i współczesnych pisarzy, m. in.: Fredry, Wyspiańskiego, Bałuckiego, Korcellego, Szaniawskiego, Brandstaetera. Już samo wyliczenie nazwisk mówi niemało o ambicjach repertuarowych łańcutkiego teatru amatorskiego.

Należałoby złożyć działaczom „Lutni” życzenia z okazji zbliżającego się jubileuszu dwudziestolecia ich pracy. Więc przede wszystkim własnej sali na próby i by nadal równie aktywnie jak dotychczas wzbogacali swym dorobkiem miasto.

Zbigniew Wawszczak



wsi, pokonywania odległości, jako czynnika nierówności społecznych; wchodzimy w epokę rozszerzenia kulturalnego uczestnictwa, przekazywania wszystkich dóbr kultury i rozchodzenia powszechnych potrzeb i zamieszania w tym zakresie w czasie pracy i w czasie wolnym od pracy".

Kilka interesujących pozycji przynosi „Twórczość”. Na czoło numeru wysuwają się trzy szkice: Z. Bieńkowskiego „O poezji Stanisława Piętaka”, J. Spiewaka „Rozmowa z Stanisławem Piętakiem” oraz Z. Mitznera „Słowo o Edwardzie Szymańskim”. Esej Bieńkowskiego stanowi najbardziej wnikliwe i najgłębsze opisanie poezji Piętaka, jakiego dokonano po tragicznej śmierci poety. Przejmująco brzmi konkluzja Bieńkowskiego:

„Poezja Piętaka to chyba najbardziej osamotniona poezja współczesna. Nie wyołowała sporów, nie prowokowała polemik. A przecież była ustawiczną polemiką, ustawicznym sporem ze światem. Każdy z nas, jego przyjaciel, pozostał z jakimś poczuciem winy, że nie przeciwstawił niepojętej, niezastąpionej obojętności. Tragizm śmierci przeleciał to twórczość w chwili, gdy osiągnęła ona pełnię dojrzałości, gdy w pełni przełamała własną słabość i stało się tym, czym być powinno dla każdego artysty, solą mądrości. Ostatnie poetyckie i prozatorskie utwory Stanisława Piętaka ukazywały odnowienie się tej obrzydliwej wrażliwości. Powieść „Piama”, poezje „Pośrodku żywiołów” i „Zaklinalnia” są pięknym spełnieniem tych wielkich nadziei, jakie przed czterdzięciem pokładaliśmy wszyscy w autorze „Alfabetu oczu” i „Młodości Jasła Kunefala”.

Piętak należał do wybitnych twórców pochodzenia chłopskiego, wieś odgrywa w jego piśarstwie zasadniczą rolę, zwłaszcza w jego powieściach. Te problemy podejmuje J. A. Król we „Wsi Współczesnej” w artykule „Powieść wiejska roku 1963”. Zauważa autor odrodzenie się tematu chłopskiego w literaturze. Jakże są tego powody? Wchodzą w życie nowe pokolenia inteligencji pochodzenia chłopskiego. Na podstawie licznych przykładów próbuje opisać krytyk model bohatera w utworach o tematyce wiejskiej.

„W recenzowanych powieściach występuje narrator, który jest zawsze inteligentem pochodzenia chłopskiego. Zjawisko nowe i zastanawiające. Powstaje literatura o podwojonym bohaterze i większości jej jest również podwojona. Także bowiem bohater-narrator, choć intoligent miejski, w charakterologii narodowej otrzymuje profil chłopski. W biografii narratora pisarze eksponują jego związek ze wsią, ten kapitał wiedzy i doświadczenia, a ponad wszystko jego zobowiązania wobec środowiska macierzystego. Wiesz ukazuje się czytelnikowi jako problem osobisty inteligenta, który wyszedł „z opłotków”. Ten problem osacza go podwójnie: jest sprawą zewnętrzną część narodu i sprawą wewnętrzną jego własnego charakteru, wyobraźni i poglądów”.

Obserwacja godna uwagi i szerszej dyskusji.

T. K.

FERDYNAND ZAMOJSKI: „DROGA”
Wydawn. MON 1964

We współczesnej uścisłej polskiej istnienie wyraża ideologia, którą można by nazwać świadomością autobiografizowaniem. Właściwie w memoryum wypisanych granic między pamiętnikiem a powieścią prawie się nie zacięta, a w każdym razie sąsiadują się nieuchwytnie. (Notabene takie zacięcie granic występuje także między opowiadaniem a reportażem). Jest to zjawisko zniechęcające: literatura piękna opierała na koparkach przetrzymać przez autora zblizła się do życia, staje się prawdziwą, wyraża treści istotniejsze.

Powieść F. Zamojskiego jest relacją z Września. Zauważony jest temat nieaktualny, tyle już razy wykorzystywany, powieść może — banalny. Nieaktualność pozorną, tu awduwzestu iat ukazują się książki o Wrześniu, zaana z nich jednak nie jest według terminologii księgarskiej „cegią”, przeciwnie stanowią grupę powieści poszukiwanych, nawet rozchwytywanych. W każdej z nich szukamy odpowiedzi na ciągle bieżące pytania. „Droga” stanowi jasną odpowiedź na niektóre z nich. Potwierdza znaną prawdę o zbrodniach bezmyślności dowodząca, ale potwierdza też inną pozornie paradoksalną, brzmi ona: egzamin wrzesniowy polski żołnierz zdał. Oczywiście książka Zamojskiego nie jest traktatem wojskowym ani w ścisłym znaczeniu pamiętnikiem. Jest powieścią, osnutą jednakże na realiach pozwalających w oparciu o nią dyskutować o Wrześniu kontynuować.

Zamojski przedstawia w swojej książce perypetie narratora — podchorążego w plutonie cekaemów — podczas walk odwrotowych 11 dywizji piechoty z armii „Karpacyj”. Trzytygodniowy marsz dywizji towarzyszy z dnia na dzień ukazuje autor w szeregu epizodów zdradzających złyk batalisty. Nie ma w książce pięknych słów ani ograniczeń rekwizytów bohaterzczyzny — jest krwawy trud piechura: głód, odparzone nogi, ciężki sen w nocnym marszu, zacięte bezadzielne walki. Zamojski ukazuje m.in. w „Drodze” mało znane zagadnienia wrzesniowe, udział w kampanii mniejszości narodowych, tak przecież licznych w Polsce ówczesnej. Ukraińscy chłopcy w jego relacji, choć w większości uczciwie spełniają obowiązki, nie czują się bohaterami o swojej sprawie, wyraźnie akcentują swoją odmienność, obcość. Obcość, której trudno się dziwić, której trzeba było oczekiwać jako skutku wadliwej polityki mniejszościowej władz sanacyjnych.

WACŁAW BILIŃSKI: „BÓJ”
Wydawn. MON 1964

Powieść Bilińskiego stanowi tragiczny epilog książki wyżej przedstawionej. Tematem „Boju” są walki Wojsk Ochrony Pogranicza z resztkami nacjonalistycznych band ukraińskich UPA w pierwszych latach po wojnie. Temat stosunkowo niewiele dotąd wykorzystany na szczele stwórczym gatunku relacji o posmak sensorycznym, czasami nawet fantastycznym. Poza literaturą „poważną” powinien on wkręcić do powieści młodzieżowych oraz serii w rodzaju „Srebrnego Klucza” czy „Jamnika”, które, zamiast tłumaczyć (czy też tworzyć pod angielskimi pseudonimami) przygody nowojorskich czy londyńskich „prywatnych detektywów”, lub walcować kłopoty milicji z przemytem zegarków, mogłyby wprowadzić na rynek książki nie mniej sensacyjne a bliższe nam i na pewno prawdziwsze. „Bój” jest dobrze zrobioną powieścią (może raczej opowiadaniem, gdyż mimo 184 stron dotyczy jednej osoby i jednego zdarzenia, z minimalnie potraktowanymi wątkami pobocznymi) batalistyczną, bez głębiej wszakże zarysowanego tła, co nie jest w tym wypadku wadą istotną. Jest to bowiem relacja bardzo wycinkowa ukazująca napad dużej grupy UPA na strażnicę WOP broniącą dostępu do granicznej przełęczy.

Akcja szybka i interesująca. Sceny bitewne szkicowane sugestywnie, bez patosu i zbędnych słów. Ujęcie trochę „filmowe”. Po niewielkich zmianach książka Bilińskiego byłaby na pewno scenariuszem dobrego filmu w typie „Ogniomistrza Kalenia”.

HALINA SNOPIKIEWICZ: „PIĘKNY STATEK”
Lud. Spółdz. Wydawn. 1964

Z pasją napisana powieść współczesna o inteligencji twórczej. Zlokalizowana w Warszawie. „Piękny statek” to notatki wspomnieniowe narratorki — młodej lekarki pochodzącej ze wsi, która przez małżeństwo weszła do typowo mieszczańskiej rodziny oraz do środowiska „utalentowanych przyjaciół męża”. Autorka ukazuje „karierę” narratorki, po kilku latach dojrzejącej do decyzji zerwania z mieszczańsko-snohisticzną, na pozór „twórczą” sferą, do której weszła.

Z dużą sugestywnością podane są w notatkach narratorki etapy „cywilizacji” wiejskiej dziewczyny, od pasienia gęsi do wyjazdu na stanowisko lekarki w Afryce. Autorka beziluzyjnie obnaża w swojej książce na przykładzie teściowej narratorki zakłamanie mieszczańskiego środowiska, ukazuje od podszewki życie „twórców” szukających natchnienia i ucieczki w alkoholu.

Powieść ambitna, trochę może zanadto szkicowa, co zresztą można usprawiedliwić jej kształtem, w sumie zdaje się świadczyć o talencie narracyjnym i pasji polemicznej autorki.

EMILIA KUNACEWICZ: „SERCA NIENASYCONE”
Lud. Spółdz. Wydawn. 1964

(wyróżnienie na konkursie LSW i ZLP)
E. Kunacewicz, nauczycielka i działaczka społeczna, zaczęła pisać stosunkowo późno.

„Serca nienasycone” — druga jej powieść to powracające w mąlginie wspomnienia ciężko chorego wiejskiego nauczyciela. Bohater, a raczej narrator, dręczony jest obrazami z pracy nauczycielskiej na wsi, leniście w latach międzywojennych. Główny żrąb książki to epizodyczne sceny z życia biednej wsi białostkiej, zdanej na łaskę znachorów i „babek”.

Książka nie jest łatwa w czytaniu, stanowi jednak niewątpliwie dokument, stanowiąc ciekawą psychologię i literacko formę. Autorka próbuje skonstruować pisemne wizje chorego człowieka, męczącego go, powracające uporczywie, stanowiące jak gdyby jego przedmierny (zapewne) rozrachunek z przeszłością.

KRYSTYNA KLECZKOWSKA: „CZTERY SCIANY ŚWIATA”
Wydawn. Literackie 1964

Zbiór opowiadań o egzotycznej tematyce. Każde z nich jest wspomnieniem z krajów o fikcyjnych nazwach (Jeden wyjątek gdzieś na Bliskim Wschodzie czy w Ameryce Południowej. Narratorkami są kobiety. Poiki w małych środowiskach polonijnych. Wszystkie opowiadania łączą jedną tendencję: chęć psychologicznego podejścia do spraw erotycznych od strony kobiet. Akcje raczej statyczne. W kilku wypadkach ciekawa pointa.

B. K.

KRONIKA KULTURALNA
LUBLIN

W DN. 14.V. na zaproszenie wiceministra kultury i sztuki Zygmunta Garsteckiego odbyło się w ministerstwie spotkanie działaczy kulturalno-osiawitowych ze środowiska nauczycielskiego województwa lubelskiego pracujących w ramach akcji „Szkola ośrodkiem życia kulturalno-osiawitowego”. W spotkaniu wzięli udział: kierownik Wydziału Kultury KC PZPR Wincenty Kraśko, wiceminister oświaty Jan Szkop oraz prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego Marian Walczak.

W RAMACH TEGOROCZNYCH OBCHODÓW DNI OŚWIATY, KSIĄZKI I PRASY odbyło się w województwie szereg imprez oświatowych jak i rozrywkowych. Obok tradycyjnych już wystaw książki, kiermaszy i loterii książkowych wygłoszono kilkadziesiąt odczytów i pogadanek z różnych dziedzin wiedzy, zorganizowano wiele spotkań z literatami, dziennikarzami i różnymi specjalistami, w bibliotekach odbyły się lekcje biblioteczne. Dominującym akcentem były wojewódzkie i powiatowe obchody Dnia Działacza Kultury.

W Lublinie uroczystość ta odbyła się w dniu 10 maja w formie spotkania przedstawicieli władz partyjnych i wojewódzkich z wyróżnionymi działaczami kulturalnymi i pracownikami placówek k. o. W spotkaniu wzięło udział ok. 200 osób. Przewodniczył przewodniczący Prezydium WRN mgr Paweł Dąbek. Obecni byli również i sekretarz KW PZPR tow. Władysław Kozdra i przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki dyr. Stefan Wiślicki. Referat o lokalnym oświacie wygłosił sekretarz KW PZPR ob. Edward Machocki. Podczas spotkania 23 osoby otrzymały odznaki Zasłużony Działacz Kultury. Poza tym wręczono 25 nagród pieniężnych Ministerstwa Kultury i Sztuki, 100 nagród Prezydium WRN, dyplomy i listy uznania. Spotkanie odbyło się przy kawie i tradycyjnej lampce wina. W części artystycznej wystąpił zespół Wojewódzkiego Domu Kultury — recytatorzy i piosenkarze.

TEATR IM. Osterwy wziął jak co roku udział w kaliskim festiwalu teatralnym. W bieżącym roku zespół lubelski zademonstrował w Kaliszu „Szachy” i „Partię na instrumencie drewnianym” Stanisława Grochowiaka oraz „Makbeta”.

BIAŁYSTOK

DONOSILIŚMY W UBIEGŁYM ROKU O OTWARCIU pierwszego Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki RUCHU zorganizowanego przy współudziale ZMW na wsi. W dniu 10 maja przypadł już mały jubileusz, mianowicie setny Klub MPiK. Otwarto go w Stawiskach w powiecie kolneńskim. Do końca roku ma powstać następna setka klubów na terenie naszego województwa.

TWIERDZENIE MARII BECHCZYC-RUDNICKIEJ, że studenci medycyny wykazują nadspodziewanie dużo inwencji w przedsięwzięciach artystycznych, sprawdza się również w Białymstoku. Po kabarecie „Kontrasty” z równym sukcesem wystąpił drugi zespół o wdzięcznej nazwie „Arka Medyka”, z programem nagrodzonym na ogólnopolskim przeglądzie zespołów Akademii Medycznych — pt. „Wizerunki”.

* P. art. pt. „Brawo dla studentów” w nrze 8 „Kamery”.

SPROSTOWANIE

W numerze 8 „Kamery” w wydaniu pt. „U doktora feliksa” znalazło się zdanie: „Jaka szkoda, że w czasie wojny sponęła Kronika Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki”. Prawidłowe zdanie powinno brzmieć: „Jaka szkoda, że w czasie wojny zaginęła Kronika Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki”. Nie traćmy więc nadziei, że się odnajdzie. Red.

Drzazgi społeczne

Więcej pieprzu!

BYLEM młodzieńcem gotującym się do opóźnionej przez wojnę matury, kiedy w końcu lat czterdziestych przeżyłem kolejne spotkanie z nie znanymi jeszcze dla mnie urokami ojczystego języka. W kraju wszystko oddychało polityką, a ja kulem historii literatury. Prosto od lektury Niemcewicza pewien bardziej zaawansowany w polityce kolega odciągnął mnie na wiec. Na święcie zaczęła się zimna wojna i dlatego mówcy gromili z trybuny słynne stuttgartskie przemówienie sekretarza stanu Byrnasa, którym zachód rozpoczął tę najdziesiętniejszą z wojen. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z nowym dla mnie rozdziałem mowy polskiej, przelewającej się po wiecach, mowy chropawej, ale obrazowej, czasem niezdarnej, ale soczystej. „Flaki pana Byrnasa mogą być rozwłózione na arenie Europy” — obwieszczał jeden z mówców. „Nie boimy się pogroźek — wyjaśniał inny — bo przeżyliśmy w Europie grozę, jakiej zamorskie miękkie tyłki jeszcze nie znały”. Czyż więc można się dziwić, że Niemcewicz poszedł w kąt? Staroświecka polszczyzna nie mogła oprzeć się takiemu żywiołowi.

Od tego czasu minęła epoka, a może nawet dwie. Zaczęło nam się wieść coraz lepiej, porastaliśmy w pierze. W artykułach ten i ów wieszczona dyskusję, czy aby nie mieszczaniejemy, a jeśli tak, to dobrze to czy źle. Okres wiecowej retoryki przebrzmiał. Ledwie kunszt jej zaczął odradzać się po nieurodzajny wojennych lat, a już zwiądł. Czasem tylko błysnie jakiś lepszy kamyczek wśród tej polnej szarzyzny. Słyszałem jak niedawno pewien mówca, aktywista fabrycznej rangi, zachęcał do oszczędzania papieru zużywanego przez biurokrację, nazywając to oszczędzaniem świerków, które „nie papierem ze swej miazgi, ale igłami powinny szeleścić”.

A może u podstaw zaniku sztuki krasomówczej legła pogarda dla politycznego kuplarstwa uprawianego w burżuazyjnych demokracjach? Jeśli tak, to odcinając się od tamtych treści, warto jednak zadumać się nad formami.

O flakach pana Byrnasa, rzecz jasna, mówilo się z pieprzem. Flaki zawsze wymagają pieprzu. Dziś nie te czasy, nie takie namiętności, ale odrobinę więcej pieprzu by się zdało.

(am)

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” • Redaguje Kolegium • Redaktor naczelny Maria Bechcycz-Rudnicka, sekretarz redakcji Zygmunta Mikulski • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7 • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie ośdyla • Warunki prenumeraty: kwart. z 12, półrocznie z 24, rocznie z 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie z 16,80; półrocznie z 36,40; rocznie z 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa. Zam. 1593. 14.V.64. R-3.